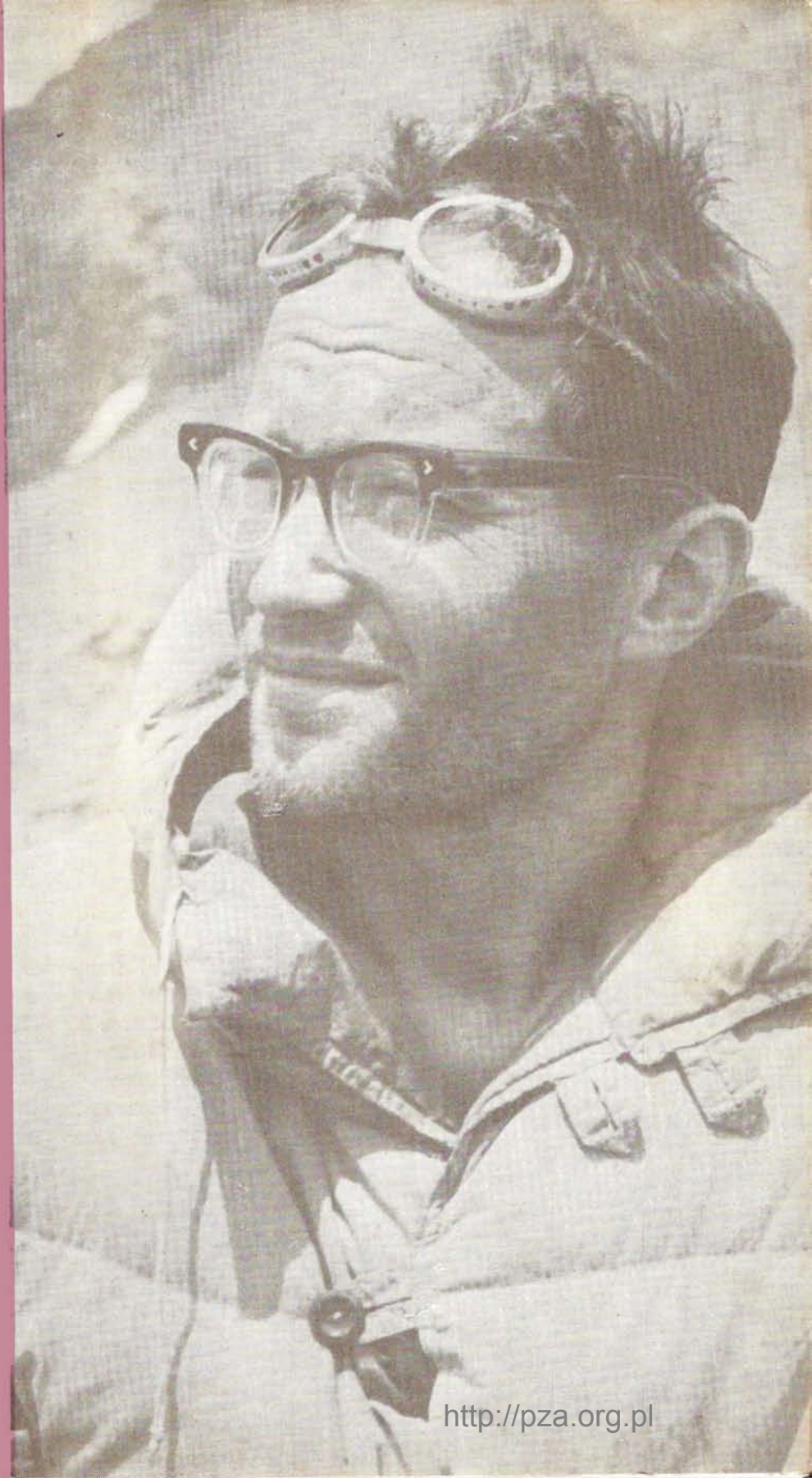


Taternik

3

1967





Spis treści

Pamięci Janka Długosza (<i>J. Nyka</i>)	97
O program ekspansji alpinizmu polskiego (<i>R. W. Schramm</i>)	98
Alpinizm na małym ekranie (<i>J. Nyka</i>)	100
Czterdziestu na Szczyt Lenina (<i>G. I. Szalajew</i>)	101
W Hindukuszu Zachodnim (<i>J. Wala</i>)	104
Gouffre Berger — 1966 (<i>M. Kuczyński</i>)	107
Nowe jaskinie w Małolączniaku (<i>A. Kobylecki</i>)	110
Jan Długosz 1929—1962 (<i>B. Uchmański</i>)	111
Ważniejsze przejścia J. Długosza (<i>J. Wala</i>)	114
Filar Świnicy (<i>J. Długosz</i>)	115
Każdy ma kiedyś dosyć (<i>A. Skoczyła</i>)	116
Było dobrze... (<i>Cz. Momatiuk</i>)	119
Komin Łapińskiego w zimie (<i>Z. Jurkowski</i>)	121
Taki był Długosz (<i>T. Łubieński</i>)	123
Wspinacz doskonały (<i>Cz. Momatiuk</i>)	125
Za późno... (<i>J. Długosz</i>)	126
Kilka uwag o pisarstwie Jana Długosza (<i>J. Kolbuszewski</i>)	127
Publikacje Jana Długosza (<i>J. J. Długoszowie</i>)	130
Nowe drogi w Tatrach	131
Taternictwo jaskiniowe	134
Wypadki i ratownictwo	135
Tatrzański Park Narodowy	136
Z życia Klubu Wysokogórskiego	138
Z piśmiennictwa	139
Notatki, ciekawostki	140
Sprostowania i uzupełnienia	143

Przednia okładka: Kaukaz 1959 — Jan Długosz pod Szczerą na Austriackim Biwaku.

Fot. Jan Surdel

Zdjęcie obok: Samotna jodła

Fot. Czesław Momatiuk

Taternik

Organ Klubu Wysokogórskiego

Rocznik 43

Warszawa, 1967

nr 3 (196)

Pamięci Janka Długosza

Zamykając 3 numer „Taternika” nie mamy jeszcze pełnego obrazu wspinaczkowego lata 1967, ale wiadomości spoza granic już zaczynają napływać. Interesujące wyniki przywiozła z Wysokiego Atlasu wyprawa Koła Bydgoskiego KW, z Chamonix powróciła 86-osobowa wycieczka Klubu Wysokogórskiego, która aż 60 taternikom umożliwiła wejście na wierzchołek najwyższego szczytu Europy. W Dolomitach została przebyta wspaniała 1200-metrowa ściana Burel, w masywie Mont Blanc najcenniejszą dla nas zdobyczą jest dokonane przez M. Kozłowskiego i J. Kurczaba I przejście wschodniego filara północnej ściany Les Droites — zaliczone do czołowych osiągnięć całego sezonu w Alpach. W dalekim Pamiarze całej polskiej ekipie udało się wejść na Szczyt Lenina, po części nawet trudniejszym wariantem.

Ale lato 1967 przyniosło także coś innego: dwie bolesne dla nas rocznice — 10-lecie śmierci Grońskiego i Żulawskiego oraz 5-lecie śmierci Długosza. Wawrzyniec Żulawski, długoletni prezes KW, upamiętniony został specjalnym numerem „Taternika” w r. 1959. Pamięci Jana Długosza poświęcamy niniejszy zeszyt naszego pisma.

Od katastrofy na Zadnim Kościelcu upłynęło 5 lat. Nie jest to perspektywa dość głęboka, by można było Długoszowi wyznaczyć dokładne miejsce w historii taternictwa i alpinizmu polskiego. Jedno wszak nie ulegało wątpliwości jeszcze wtedy, kiedy żył: że miejsce w tej historii ma, i to wcale poczesne. To prawda, że Chmielowski, Świerż czy Stanisławski dysponują dorobkiem bogatszym od niego. Ale też nie można zapomnieć, że w Tatrach zastali oni puste ściany, które wystarczyło zapełnić drogami. Więc nie w rozmiarach dorobku leży wielkość Długosza, lecz — jak pisze niżej B. Uchmański — w jakości tego, co zdziałał. Jego rówieśnicy stali w miejscu, powielając międzywojenne i wojenne wzorce. Długosz zrobił wyłom w kodeksie zasad wspinania, przełamał bariery strachów i niewiary w siebie, sięgnął wyżej i wyznaczył taternictwu wyższe cele. Nie zamknął w Tatrach epoki, lecz zapoczątkował nową. I to jest jego największa zasługa.

Spoczywa dziś na Pęksowym Brzyźku, a życie musi toczyć się dalej. Kolejne numery „Taternika” — również i ten — przynoszą wiadomości o coraz to większych dokonaniach polskich w różnych górach świata. Czytając o nich i podziwiając je, jedno miejmy w pamięci: że człowiekiem, który uparcie i wbrew wszelkim przeciwnościom torował do tych sukcesów drogę był on — Janek Długosz. Odszedł pięć lat temu, a miejsce po nim ciągle jeszcze jest puste.

Józef Nyka

O program ekspansji alpinizmu polskiego

Ryszard Wiktor Schramm

Przeszło dwa lata temu na Walnym Zjeździe Klubu Wysokogórskiego mówiłem na temat perspektyw i ewentualnych kierunków dalszego rozwoju polskiego alpinizmu egzotycznego. Od tej chwili sytuacja uległa pewnym zmianom, tak że należy wprowadzić niezbędne modyfikacje i spojrzeć na te sprawy z aktualnych pozycji.

Okres ostatnich dwóch lat można ocenić jako pewien postęp w naszym alpinizmie egzotycznym — postęp, spowodowany nie tyle osiągnięciami (mamy tu do zaliczenia jedynie poznańską wyprawę na Spitsbergen, bogatą w wyniki eksploracyjne, ale już nie pierwszego rzędu wielkości, oraz wyprawę krakowską w Hindukusz, mimo poważnych sukcesów wyraźnie epigonalną w stosunku do „złotego okresu” poprzednich kilku lat), ile perspektywami, jakie w ciągu tych dwóch lat się otworzyły. Pierwszą z nich jest Karakorum, jeden z najwyższych górotworów kuli ziemskiej, gdzie wyprawa — przygotowywana najwcześniej na lato 1968 r. — ma szansę nie tylko znacznego podwyższenia polskiego rekordu wysokości, ale także wprowadzenia Polaków ponownie i w ostatniej chyba chwili do grona zdobywców najwyższych szczytów świata. Druga — to Pamir, najbliższe nam i — wydawałoby się — „najnaturalniejsze” dla nas góry siedmiotysięczne, do których otwiera nam wreszcie drogę 50 rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej.

O ile jednak Karakorum stanowi ciągle jeszcze otwarte pole najwyższego etapu alpinizmu — zdobywania szczytów najwybitniejszych, to w Pamirze wszystkie szczyty najwyższe są już zdobyte i działalność w nim, aczkolwiek niezwykle pożądana, sprowadza się do powtarzania cudzych zdobyczy, w najlepszym razie wchodzenia na zdobyte szczyty nowymi drogami, ewentualnie do pierwszych wejść na szczyty sięgające albo nieznacznie tylko przekraczające 6000 metrów. Pamir jest wyeksploatowany w tej chwili bardziej jeszcze niż Hindukusz, głównie przez wyprawy radzieckie. Dla nas może mieć urok osobistej tylko, a nie światowo-alpinistycznej nowości, względnie (przyszłość to przesądzić nie możemy) — stosunkowo łatwo dostępnego rejonu gór siedmiotysięcznych, gdzie pewna liczba naszych alpinistów będzie mogła podnosić własne rekordy wysokości.

Niewiele natomiast — na szczęście — zmieniło się w innych rejonach stosunkowo łatwo dla nas dostępnych, o których kiedyś mówiłem i z których najciekawszy pragnę tutaj przypomnieć.

Mam na myśli jeden z największych chyba w tej chwili na kuli ziemskiej (poza niedostępnymi dla nas chwilowo Chinami), egzotyczny i całkowicie nie tknięty problem, mianowicie góry afgańskiego Badachschanu, w szczególności ich centralny węzeł — Safed-i Chirs. Potężny ten system o blisko 150-kilometrowej cięciwie, nie przemierzony jeszcze dotąd stopą alpinisty, leży w północnym Afganistanie, w zakolu Ab-e Pańdża. Na jego obrzeżu, tuż nad przełomem rzeki, wznoszą się szczyty 4-tysięczne; można przypuszczać, że w nie pomierzonym wnętrzu, w odległości kilkudziesięciu kilometrów, szczyty osiągają 5, a być może nawet 6 tysięcy metrów. Przemawia za tym także ich widok od strony Hindukuszu: wydają się być tej samej wysokości, co wznoszące się po drugiej stronie Ab-e Pańdża łańcuchy pamińskie i darwazkie. Są to góry mocno zaśnieżone, na co wskazuje również ich nazwa (*Safed* — śnieżny) i bez wątpienia zalodzone, kryjące w sobie z całą pewnością pierwszorzędną zagadkę topograficzną i alpinistyczną, a przy tym stosunkowo niezbyt odległe (około 100 km) od nietrudno osiągalnego głównego miasta Badachschanu — Fajzabadu.

Wyprawa w Safed-i Chirs mogłaby nam otworzyć — na kilka lat przynajmniej, na kilka wypraw — zupełnie nowy i całkowicie egzotyczny rejon górski, gdzie jeszcze ciągle mamy szansę być pierwszymi. Aby ta szansa nie została zmarnowana, wyprawa winna być zorganizowana niezwłocznie. Pamiętajmy, że i gdzie indziej na świecie są maniacy, którzy palcem po mapie szukają ostatnich, coraz radszych problemów górskich, i że nie jedno już oko zatrzymało się na Badachschanie!

A więc — musi to być wyprawa szybka. Dalej — moim zdaniem — powinna to być chyba wyprawa przygotowana centralnie przez Klub Wysokogórski. Poszczególne koła organizują własne wyprawy pod zawsze istniejącym naciskiem swoich członków wychowanych w duchu alpinizmu sportowego, dla których wyjazd w inne góry musi być połączony z podwyższeniem jakiegoś rekor-

du — w tym przypadku rekordu wysokości. Rozpoznanie alpinistyczne nowego rejonu, zdobycie nowego szczytu pięciotysięcznego, cała działalność odkrywczą — wszystko to w zestawieniu z szansą podniesienia własnego rekordu pociąga za mało, aby te atuty egzotyczne przeważały osobiste ambicje czyśto sportowe. Rekord już dawno nie wiąże się z alpinizmem odkrywczym.

Ale polityka wyprawowa Klubu musi brać pod uwagę wartości ogólne, liczące się w skali organizacji, ba — nawet państw, a nie w skali prywatnych odczuć poszczególnych ludzi. I dlatego ona właśnie powinna preferować wyprawy, może pomiędzy poszczególnymi członkami mało popularne, ale wnoszące wartości o charakterze ogólnym i zostawiające trwałe ślad. Takimi będą na pewno wyprawy pionierskie w egzotyczne góry nawet czterotysięczne, a nie będą któreś z rzędu wejścia na już zdobyte niewysokie siedmiotysięczniki, choć dla każdego z młodych uczestników takie osiągnięcie będzie jakimś prywatnym dużej klasy rekordem.

Czy to znaczy, że neguję wartość wyjazdów czysto sportowych i namawiam, żeby zamiast wyjazdu w Alpy i Dolomity rzucić całe siły na eksplorację np. Altaju mongolskiego (*nota bene* na pewno wartego zainteresowania)? Nic podobnego. Wydaje mi się jednak, że o ile prywatnie możemy dążyć do tego, co nam bardziej smakuje, to jako Klub musimy wychodzić ze stanowisk ponadosobistych, patrzeć z pewnej perspektywy i oceniać nasze zamierzenia i osiągnięcia z punktu widzenia ich trwałej wartości.

Co w alpinizmie ma wartość trwałą: przejście skrajnie trudnej ściany, czy zdobycie nie zdobytego szczytu. Rekord — czy odkrycie? Każde wartościowanie wymaga stworzenia pewnych ocen, a więc przyjęcia pewnych kryteriów i przeprowadzenia pewnych porównań. Od razu na wstępie można stwierdzić, że wobec tych założeń znacznie bardziej do wartościowania będzie się nadawał alpinizm sportowy niż egzotyczny.

Przejścia ścian, „dróg” alpinistycznych, są w znacznym stopniu wymierne i porównywalne: długością, trudnościami technicznymi, czasem wręcz ilością haków. Można porównywać np. filar Walkera z północną ścianą Eigeru, lub południową ścianę Marmolaty z zachodnią Civetty. W pewnej mierze można stosować to i do całych szczytów, jeśli porównuje się tylko trudności techniczne w ich zdobyciu. Jakies — nie ustalone zresztą nigdy formalnie — klasy szczytów istnieją niezależnie od długości i szerokości geograficznych. Na pewno do wspólnej klasy można zaliczyć zdobycie Matterhornu, Meije i Uszby w czasach, kiedy szczyty te same były jeszcze problemami; do innej — zdobycie Aconcagua, Mount McKinley i Chan

Tengri; do jeszcze innej — zdobycie K2 i Kangchendzöngi. Ale z czym porównać np. zdobycie Cerro Fitz Roy lub Cerro Torre, łączące w sobie móżół ekspedycji egzotycznej ze skrajnymi trudnościami technicznymi w fazie ataku szczytowego, albo np. — tak krańcowo odmienne — zdobycie Ojos del Salado? A co ważniejsze: które z tych osiągnięć ma większą wartość — i czy w ogóle istnieje tutaj jakaś możliwość zastosowania wspólnych kryteriów, a więc i jakiś sens wartościowania tych osiągnięć?

Jedno wydaje się rzeczą pewną: alpinizm sportowy, podobnie jak sport wyczynowy, ma sławę bardziej przemijającą i może służyć przeważnie tylko do aktualnego porównania swojego poziomu z poziomem konkurentów. Dwudzieste siódme przejście jakiegś skrajnie trudnej ściany, będące na pewno dużym osiągnięciem sportowym, będzie miało akurat taką samą wartość jak dwudzieste ósme, a pogodzi je oba przejście dwudzieste dziewięte, w dodatku dokonane w czasie o $\frac{1}{4}$ krótszym.

Alpinizm ma jednak pewną zasadniczą przewagę nad sportem: nie jest tylko wymierny. Dlatego Welzenbach czy Cassin będą jaśnieć jako gwiazdy pierwszej wielkości na tle wielu innych pierwszych zdobywców: Heckmairów, Schmadererów, Allainów, Gervasuttich i wszystkich pomniejszych, a w sporcie do pamięci potomnych przejdą wyłącznie jednostki: Ovens, Nurmi, Zatopek, ale nikt nie będzie pamiętał — bo już nie pamięta — setek medalistów olimpiad z przed kilkunastu lat, którymi niedawno entuzjastomwali się wszyscy; ich złoto przyćmili inni, późniejsi, wymiennie lepsi. A przecież i tak Buhl pozostanie w pamięci pokoleń przede wszystkim jako zdobywca Nanga Parbat, a nie jako jeden z najlepszych wspinaczy, jacy kiedykolwiek istnieli.

Wydaje się, że zagadnienie bezwzględnej wartości poszczególnych osiągnięć alpinistycznych wiąże się w dużej mierze z kwestią etapu zdobywania gór (patrz: „Hindukusz z perspektywy”). I w alpinizmie odkrywczym, i w sportowym etap pierwszy ma z reguły większą wagę niż drugi: cenniejsze jest zdobycie szczytu, niż późniejsze wejście na niego inną drogą; cenniejsze jest pierwsze przejście nie zdobytej dotąd ściany, niż rozwiązanie na niej jakiegś specjalnego problemu. Co do oceny wartości zdobycia samego szczytu (alpinizm odkrywczy) i jego ścian (alpinizm sportowy) — zależy ona od wagi własnej samych problemów, a zwłaszcza od wagi ich „egzotyczności”: na pewno żadna nowa droga na Mount Everest nie przyćmi pierwszego nań wejścia; ale równocześnie na pewno cenniejsze pozostanie przejście północnej ściany Eigeru lub Cima

Grande di Lavaredo, niż pierwsze wejścia na te szczyty.

Problem zasadniczy leży w tym, że w alpinizmie egzotycznym nie ma już w tej chwili wybitnych szczytów łatwych, na które po prostu wystarczy wejść. Zdobyć każdego nowego szczytu jest kwestią zorganizowania najpierw poważnej wyprawy, a o sukcesie w niewielkim tylko stopniu będą decydowały same trudności techniczne, a więc moment sportowy. Dlatego możemy założyć *a priori*, że w chwili obecnej celem wyprawy, która ma być wyprawą egzotyczną, powinno być zawsze zdobycie po raz pierwszy szczytu. Oczywiście, że stopniowo we wszystkie góry będą wkraczać coraz szybciej momenty czysto sportowe, a z czasem pozostanie alpinizm wyłącznie sportowy — bo sport może polegać na podwyższaniu rekordów nawet na tym samym boisku. Alpinizm egzotyczny skończy się, bo zabraknie jego problemów.

*

Podsumowując te dygresje spróbujmy wrócić do punktu wyjścia: jaki powinien być program ekspansji alpinistycznej Klubu Wysokogórskiego?

Wydaje mi się, że na pewno wielotorowy: w tym i sportowy, i egzotyczny. Sprawa alpinizmu wyczynowego, sportowego nie stwarza chyba wątpliwości: porównywalne kontakty wyczynowo-alpinistyczne na terenie, który stał się już boiskiem sportowym

alpinizmu (Alpy, Dolomity), względnie który się tym boiskiem staje (Kaukaz) i — ewentualnie — wchodzenie z alpinizmem sportowym jako pionierzy na teren gór do niedawna jeszcze wyłącznie egzotycznych (Spitsbergen). Na pewno natomiast nie warto propagować alpinizmu wyczynowego w górach egzotycznych: po prostu za dużo to kosztuje i jest za mało bezpośrednio porównywalne (a taki jest przecież sens sportu). Chyba, że stawka jest na miarę południowej ściany Aconcagua lub ścian Mount McKinley — a więc np. pn. filar Szachaura. Alpinizm egzotyczny? Sądę, że zdobyte już w najpoważniejszych problemach góry siedmiotysięczne, a więc Hindukusz, a w przyszłości także Pamir i ewentualnie Tiań-Szań powinno się pozostawić „prywatnej inicjatywie” kół, dla których dostatecznym napędem będzie ambicja sportowa członków, dążących do podwyższania prywatnych rekordów, a przetarcie dróg — ułatwieniem organizacji. Centralną działalność Klubu należy skupić i skierować na te góry, w których istnieje możliwość podniesienia rekordów ogólnopolskich i zbliżenia ich do poziomu światowego (Himalaje, Karakorum), oraz na inne w pełnym tego słowa znaczeniu egzotyczne, których eksploracja sama przez się, właśnie ze względu na ich egzotykę, jest trwałym wkładem nie tylko do alpinizmu, ale i do ogólnej kultury światowej (Safed-i Chirs).

Ale: dobra będzie ta wyprawa, która będzie szybka!

Alpinizm na małym ekranie

Jak doniósł warszawski „Express Wieczorny”, w lipcu 1967 r. 10 milionów widzów brytyjskich przez 2 dni pasjonowało się bezpośrednim reportażem z efektownej wspinaczki na skalę Old Man of Hoy (Orkney, Szkocja), oblaną wodami Atlantyku. Transmisja była niełatwym przedsięwzięciem technicznym, a ekipę wspinaczy — z udziałem Chrisa Boningtona — prowadził sam Tom Patey, który przez cały mikrofon objaśniał widzów o wszystkich swoich poczynaniach w skale. (The Old Man of Hoy jest smukłym obeliskiem 150 m wysokości — I wejście: 18 VII 1966, R. Baillie, C. J. Bonington i T. Patey, V, H2).

Widowisko BBC stało się dużym sukcesem realizatorskim, jako pomysł nie było jednak bynajmniej nowe. Wszak we Francji już w r. 1963 dokonano bezpośredniej transmisji telewizyjnej ze wspinaczki alpejskiej, którą stanowiło przejście w warunkach zimowych (maj) skrajnie trudnej drogi na południowej ścianie Aiguille du Midi. Wśród „aktorów” znaleźli się m. in. tak świetni i znani alpinści, jak G. Magnone, R. Paragot i R. Desmaison. Program transmitowała Eurowizja, za której pośrednictwem miało go zobaczyć 60 milionów osób. Podobny reportaż przeprowadzono później w NRR, a w październiku 1964 r. wspinaczkę w skałkach pokazała w bezpośredniej relacji telewizja czechosłowacka. I tu aktorami byli popularni alpinści — R. Kuchař i O. Kopal, a samo przejście drogi poprzedził parominutowy

pokaz zasad wspinania i sposobów ubezpieczania się w skale.

Alpinizmem podziemnym zainteresowała się telewizja szwajcarska. Nakreśliła ona w lutym 1964 r. dokumentalny film w Hölloch (Muotatal — „Taternik” 1/1967, s. 36). Same kable użyte pod ziemią ważyły 1000 kg, a koszt 25-minutowego programu wyniósł 25 000 franków. Jak podkreślały zachodnie pisma alpinistyczne, ekipa nie posiadała w swym składzie grotołazów (z wyjątkiem konsultantów), co w przypadku nagłego najścia wody mogło się być skończyć katastrofą. W r. 1965 ta sama telewizja szwajcarska uczciła „rok Alp” bezpośrednim reportażem z wejścia na Matterhorn. I ta impreza była bardzo kosztowna, dość powiedzieć, że w góry trzeba było wynieść ok. 10 ton sprzętu technicznego!

Telewizja polska rzadko porusza temat „wspinanie”, a jeśli już go podejmie, to co najwyżej w formie rozmowy przed kamerami (w rodzaju „Taternickie SOS” w r. 1964) lub wyciągniętego z archiwum filmu Sprudina. A przecież i u nas możnaby sięgnąć do żywego reportażu. Mamy wypróbowanych w górach aktorów, mamy ludzi obeznanych z kamerą, i z wspinaczką, a skalki Jury Krakowskiej czy południowe ściany Zamarłej Turni w Tatrach mogłyby być doskonałym miejscem akcji. Temat wdzięczny i efektowny!

J. Nyka

Czterdziestu na Szczyt Lenina

Gennadij I. Szalajew

W związku z udziałem polskiej delegacji w wielkiej międzynarodowej wyprawie na Pik Lenina w Pamirze, organizowanej dla uczczenia 50-lecia Rewolucji Październikowej, zamieszczamy artykuł naszego radzieckiego współpracownika o zbiorowym wejściu na ten szczyt w r. 1962. Pik Lenina (7134 m) wznosi się w środkowej części Grzbietu Zaalajskiego i jest trzecim co do wysokości z czterech siedmiotysięczników ZSRR. Zdobyła go w r. 1928 radziecko-niemiecka wyprawa — E. Allwein (Niemcy), E. Schneider (Austria) i K. Wien (Niemcy). W r. 1934 wejście powtórzyli — nową drogą od północy — alpinisci radzieccy: W. M. Abałakow, K. Czernucha oraz I. Łukin. Do r. 1962 łącznie na szczycie stało 308 osób w 24 grupach, do 1964 — 368 w 29 grupach; wierzchołka nie osiągnęły 174 osoby. (Redakcja)

W lecie 1962 r. Federacja Alpinizmu USRR przy poparciu Ukraińskiej Rady Związków Zawodowych postanowiła zorganizować wyprawę na Pik Lenina. Celem tej imprezy była próba sił alpinistów Ukrainy w kategorii wejść wysokościowych, a oprócz tego postawiono zadanie poprawienia rekordu masowego wejścia na szczyt przekraczający 7000 m. Wychodząc z tych założeń, wybrano Pik Lenina jako najbardziej dostępny ze względu na dojazd i podejście, jak też i ze względu na to, że jest to jeden z łatwiejszych technicznie siedmiotysięczników.

Federacja Alpinizmu USRR powierzyła kierownictwo wyprawy mistrzowi sportu W. D. Monogarowowi. Polscy alpinisci, którzy mają doświadczenie w przeprowadzaniu podobnych wypraw w Hindukuszu, dobrze zdają sobie sprawę ze wszystkich trudności organizacyjnych związanych z takim przedsięwzięciem. Dlatego nie będę się nad nimi rozwodził, chciałbym jedynie wspomnieć, że Komitet Organizacyjny wywiązał się ze swego zadania znakomicie.

I tak, 40 alpinistów zebranych z wszystkich prawie części Ukrainy odbyło 20-dniowe zgrupowanie w Kaukazie Centralnym. Wszyscy niemal uczestnicy byli dwukrotnie na wschodnim wierzchołku Elbrusa, spędzając noc między wierzchołkami. Należy wspomnieć, że główny trzon ekspedycji składał się z alpinistów I i II kategorii. W skład jej wchodziło m. in. 13 mistrzów sportu, lekarz kwalifikowany oraz 3 kobiety. Nie wielki wydział gospodarczy złożony był z 4

ludzi. 3 VII cały prawie skład wyprawy odleciał samolotem Tu-104 B do Taszkentu, a następnie do miasta Osz w Kirgiskiej SRR — do tego samego Osz, w którym bierze początek wspaniały szlak pamiński Osz — Chorog. Prawie 10 dni zajęły tu dalsze przygotowania, wreszcie 4 nasze samochody przyjeły kurs na Pik Lenina.

Na odcinku Osz — Dolina Alajskaja trakt przecina trzy przełęcze o wysokości 2400, 3650 i 3510 m. U wlotu drogi do Doliny Alajskiej leży osada Sary-Tasz, główne centrum tej okolicy. Są tam warsztaty mechaniczne, punkty zaopatrzeniowe, oddział pocztowy z telefonicznym połączeniem z Osz. Odjeżdżając około 30 km od Sary-Tasz zanočowaliśmy.

*

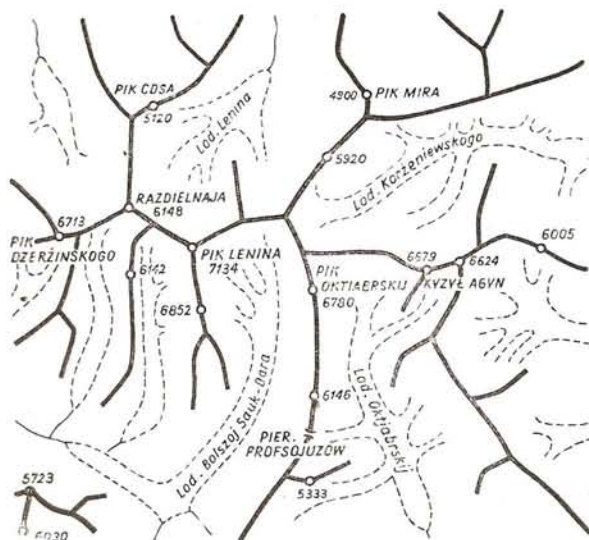
Na Pik Lenina używane są trzy drogi:

1. Wschodnią granią z lodowca Lenina;
2. trawers od północy przez szczyt Razdielnaja;
3. wejście od południa od lodowca Oktjabrskiego przez Przełęcz Profsojuzow, lodowiec Bolszoi Sauk-Dara i Przełęcz Krylenki. Dwie

W drodze ku Przełęczy Profsojuzow.

Fot. Gennadij I. Szalajew





pierwsze drogi zaczynają się w Dolinie Ałajskiej. Rada trenerów wyprawy jeszcze w Kijowie postanowiła, że nasza wyprawa obierze drogę od południa.

Obóz bazy rozbiliśmy na wysokości 4200 m wzdłuż końcowej moreny lodowca u źródeł czystego strumyka. Było to miasteczko namiotowe złożone głównie z niemieckich 4-miejscowych namiotów, jakich często używa się na spływach kajakowych.

Rozpoczęły się pracowite dni połączone z aktywną aklimatyzacją i transportem ładunków. Nasza wyprawa założyła dwa obozy, zaopatrując je w żywność: na tzw. „gruzińskich biwakach” (4500 m, na lodowcu Bolszoi Sauk-Dara) i na Przełęczy Krylenki (5820 m). Zorganizowano też bazę żywnościowo-sprzętową na Przełęczy Profsojuzow (5000 m), dokonując przy okazji wejść na dwa bezimienne szczyty (5600 i 5700 m), które wznoszą się po obu stronach tej przełęczy.

Wyżywienie w bazie postawione było na znakomitym poziomie: każdego dnia barszcz ukraiński, na drugie danie — obowiązkowo świeże mięso z arhara (pamiński kozioł górski) lub z zająca. Raz na 10 dni samochód przywoził z Osz pocztę, pomidory, ogórki; kapustę, ziemniaki, arbuzy, dynie, winogrona, brzoskwinie — wszystko to, w co zasobna jest w tym czasie okolica.

Przed wyruszeniem do szturmego przeprowadzono dokładny przegląd lekarski. Wyniki zgodne były z danymi uzyskanymi podczas wcześniej już dokonywanych badań kontrolnych. Rada trenerów przeprowadziła z każdym uczestnikiem wywiad i postanowiła, że wyruszą wszyscy (40 ludzi). Wprawdzie dwie osoby wzbudziły u lekarza obawy z powodu dolegliwości sercowych, jednakże zezwolił on im na wyjście, ponieważ na razie sam towarzyszył wyprawie.

8 VIII. Z bazy przy języku Lodowca Oktjabrskiego idzie się prawą orograficznie stroną. Droga nie jest skomplikowana, miejscami tylko utrudniają ją przepawy przez potoki. Wejście na grzbiet Przełęczy Profsojuzow, gdzie założony był obóz pomocniczy, zajmuje jeden dzień.

9 VIII. Z Przełęczy Profsojuzow na lodowiec Bolszoi Sauk-Dara, do „gruzińskich biwaków”, schodzi się dosyć zawiła droga, dowolnie wybraną w zależności od nachylenia stoku. Pewną trudność stanowi wyjście na lodowiec i przemarsz po nim.

10 VIII. Przejsie do obozu „żółta morena” (4700 m) zajmuje 3—4 godzin, po wcześniej oznakowanej trasie na lodowcu Bolszoi Sauk-Dara. Na drodze spotyka się duże seraki, a sam lodowiec jest silnie pocięty szczelinami.

11 VIII. Przejsie w cyrk lodowca Bolszoi Sauk-Dara pod Przełęcz Krylenki zajmuje 6—7 godzin. Obóz znajduje się tu na wysokości 5200 m. Cała okolica obfituje w szczeliny lodowe, często zakryte i zmuszające do ustawicznej uwagi.

12 VIII. Z obozu 5200 m idzie się na Przełęcz Krylenki dość połogim terenem i zupełnie bezpiecznie. Lekarz wyprawy nie zezwolił jednakże 2 podopiecznym na dalszą wspinaczkę i został z nimi na przełęczy, aż do powrotu zasadniczej grupy.

13 VIII. Z Przełęczy Krylenki droga ataku wiedzie wschodnią granią Szczytu Lenina do wysokości 6100 m, gdzie ustawiono kolejny obóz. Na grani spotyka się nawisy — niebezpieczne przy wspinaczce w złej pogodzie, ze względu na możliwość utraty orientacji. Nam wszakże pogoda sprzyjała. Noc była księżycowa i gwiazdzista, a termometr pokazywał —35°C. Nie obeszło się też i bez niespodzianek: w następstwie niewłaściwego obchodzenia się z benzyną, w jednym z namiotów wybuchł pożar. Chłopcy niemal nago wyskakowali ze śpiworów na śnieg, a ładny jedwabny namiot szturmowy uległ zniszczeniu.

14 VIII. Z obozu 6100 m droga prowadzi dalej wschodnią granią, z której miejscami wywijają się na stronę Doliny Ałajskiej gigantyczne nawisy. Grań wznosi się połogo do wysokości 6600 m, a podejście jest tu dosyć zawiłe z uwagi na obecność szczelin w lodzie. Przejsie odcinka ponad obozem 6100 m zajęło nam około 7 godzin. Śnieg był głęboki i sytki, miejscami pokryty skorupą załamującą się pod ciężarem ludzi. Obóz rozbito na poziomie 6600 m. Na tej wysokości ustawienie namiotów kosztuje alpinistów dużo czasu i siły, a wzmozona praca wywołuje zadyszkę i ból głowy. Rzecz ciekawa, że prawie wszyscy uczestnicy czuli niechęć do słodczy i takich delikatów, jak kraby czy czarny kawior. Dużym natomiast wzięciem cieszył się smalec z cebulą i czosnkiem!

15 VIII. W związku z dobrą pogodą i niezłym samopoczuciem grupy, rada trenerska postanowiła przystąpić w tym dniu do szturm szczytowego — bez ustawiania obozu na wysokości 6800 m. Po rannej pobudce zjedliśmy treściwe śniadanie, włożyliśmy do plecaków ciepłe rzeczy i przygotowane kanapki. Zespoły jeden za drugim wyruszyły w kierunku szczytu.

Przed nami była już ostatnia przeszkoda: kręte przedwierzchołkowe podejście po niegłębokim sypkim śniegu i skałach. Świszczący oddech wyrwał się z gardeł, chciało się pić. Wreszcie wierzchołek! Serce bije radośnie i sprężyste — czy to przez świadomość zwycięstwa, czy też od szybkiego podejścia... Wokół zdumiewająca niezapomniana panorama — tylko Pik Kommunisma i rejon Lodowca Fedcenki w obłokach... Na wierzchołku jest umocowana brązowa tablica pamiątkowa, jasno błyszcząca w słońcu, a także niewielkie popiersie Lenina, umieszczone tu 8 IX 1934 r. przez trójkę wojskowych alpinistów w składzie Czernucha, Łukin i Abalakow.

Na wierzchołku spędziliśmy półtorej godziny, a potem zanocowaliśmy w obozie 6600 m. Następnego dnia zeszliśmy do „gruzińskich biwaków”, a 17 VIII byliśmy już z powrotem w obozie bazowym. Tam oczekiwały na nas samochody, a radiotelegrafista przekazał radiogram o pomyślnym wejściu do Kijowa i Moskwy. W Osz Przewodniczący Prezydium Sekcji Alpinizmu Uzbekistańskiej SRR, zasłużony mistrz sportu W. I. Racek, wręczył wszystkim, którzy zdobyli szczyt, srebrne numerowane medale „Pik Lenina”, wraz z odpowiednimi dyplomami.

W ten sposób wyprawa ukraińskich alpinistów pod kierownictwem W. D. Monoga-

rowa powtórzyła w swym 38-osobowym składzie światowy rekord w masowości wejścia na wysokość powyżej 7000 m, rekord ustanowiony w r. 1958 również na Szczycie Lenina przez radziecko-chińską wyprawę, prowadzoną przez zasłużonego mistrza sportu W. M. Abalakowa.

*

Na zakończenie tego artykułu chciałbym dorzucić parę uwag. Do r. 1961 włącznie na Pik Lenina weszło w 23 grupach 270 ludzi, a obecnie liczba ta przewyższa już 400. Tak znaczna frekwencja na siedmiotysięczniku wielu czytelnikom wyda się zapewne wykładnikiem jego dostępności. Przekonanie takie byłoby błędne, a nawet niebezpieczne. Z jednej strony nie ulega wątpliwości, że Pik Lenina jest rzeczywiście jednym z najdostępniejszych siedmiotysięczników globu ziemskiego. Wspinaczka nie wymaga stosowania specjalnych technik alpinistycznych, a warunki meteorologiczne są tu na ogół sprzyjające. Jednakże historia zna nieudane próby wejść na szczyt, jak np. imprezy organizowane w latach 1929, 1934, 1936, 1952 i 1958. Niepowodzenia tych pięciu przedsięwzięć należy złożyć na karb niepogody, dużego rozrzedzenia atmosfery, niskich temperatur, a w niektórych przypadkach także słabego przygotowania alpinistów.

Planując i realizując wyprawę należy stale pamiętać, że Pik Lenina w gruncie rzeczy łatwo osiągalny nie jest, a atakujący go alpinści powinni dysponować wielką wytrzymałością fizyczną, dobrą aklimatyzacją i silną wolą osiągnięcia celu.

(Tłum. Jan Kowalczyk)

Travnik w zimie

Do najpiękniejszych sukcesów ostatniej zimy górskiej należy przejście najtrudniejszej ściany Alp Julijskich, północnej ściany Travnika (2379 m). Wyczynu tego dokonała w dniach od 5 do 10 III 1967 r. ekipa czołowych wspinaczy NRD w składzie Fritz Eske, Günter Kalkbrenner, Gunter Warmuth i Kurt Richter, wspierana z dołu przez 4-osobowy zespół pomocniczy. Ściana liczy 900 m wysokości i jest skrajnie trudna. Po raz pierwszy przebyli ją w r. 1934 P. Aschenbrenner i H. Tiefenbrunner (w 2 dni), powtórzenie miało miejsce dopiero w r. 1948.

Pierwszego przejścia zimowego dokonano w wyjątkowo ciężkich warunkach. Silna odwilż utrudniała wspinaczkę podczas dwu pierwszych dni, trzeciego dnia rozpętała się śnieżnica, która trwała aż do końca drogi. Pisze Kurt Richter w „Der Tourist”: „Nawet najtwardsza skała, każdy najmniejszy chwyt są zalepione cienką warstwą śniegu. Wszystko jest gładkie, niewiarygodnie gładkie (...) Trawers idący w lewo w górę jest paskudny. W krótkich przerwach przez ścianę wałęsa się winy świeżego śniegu. Pył śnieżny wbija się w ubrania, które przemakają na wylot. (...) Na stanowisku na lewo od załamania ściany lawiny idą przez nas nieustannie (...) Wiatr i huk lawin za-

głuszają komendy. Męczarnią jest przeciąganie plecaków, które zaczepiają się ciągle. Liny są sztywne i splątane. Skórę na rękach mamy popękaną, palce krwawią i sprawiają ból przy każdym chwycie. Wszyscy klną i złorzeczą, aż następna z kolei lawina ucisza wszystko...”

Wspinaczka trwała łącznie 126 godzin, zespół ukończył ją w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Na wysokości zadania stanęła również ekipa pomocnicza. Mimo pięknej relacji zawieruchy czekała ona na szczycie Travnika, by pomóc w zejściu zmęczonym kolegom. Całe przedsięwzięcie było wzorowo zorganizowane i przeprowadzone ściśle według planu, co zresztą zadecydowało o pięknym sukcesie. Obszerne relacje z przejścia zamieścili miesięczniki „Der Tourist” (5/1967) i „Planinski Vestnik” (7/1967).

Niniejsza notatka już w trakcie druku numeru doczekała się smutnej pointy. Dnia 21 VII 1967 r. podczas próby przejścia północnej ściany Elgeru cała czwórka zdobywców Travnika została powyżej Trudnej Rysy ugodzona lawiną kamienną i strącona w dół. Eske, Kalkbrenner, Richter i Warmuth — czołowi alpinści NRD, znani również z Tatr — nie żyją.



Rejon przełęczy Salang. Widok ze szczytu S 14 na szczyty S 11 i S 12. W głębi S 10.

Fot. Andrzej Mróz

Jerzy Wala

W Hindukuszu Zachodnim

Czytelnicy orientują się z poprzednich opisów naszych wypraw, że Kabul leży wśród gór, które nie tylko otaczają miasto (powierzchnią zbliżone do Krakowa), ale nawet dzieli je na dwie części. Obie połowy łączy przełom rzeki Kabul, wcięty między skaliste wzniesienia Kohe Asamaj i Kohe Szirdarwaza. Ale dalej na zachód, niby Tatr nad Zakopanem, wznosi się wysoko skalisty Paghman z najwyższym szczytem Tachte Turkoman (Takhte Turkoman, 4699 m), szczególnie przyciągający wzrok o zachodzie, kiedy za profilem grani chowa się słońce. Paghman zaliczany jest już do Zachodniego Hindukuszu. Niemal po przeciwnej stronie, od wschodu i południowego wschodu, wznoszą się również nieco większe szczyty i turnie z najwyższym Chake Dżabar (Khake Jabar, 3388 m)*. Wśród nich uwagę skupia jeden z bliższych — skalisty i bardzo tatrzański Kohe Sagh.

Góry dookoła nagie, pustynne, o rudociemnym zabarwieniu, pokryte skąpą roślinnością stepową. W silnym blasku słońca ostro rysują się cienie, podkreślając rzeźbę skał. Krajobraz ten z początku wywiera duże wrażenie, z czasem jednak zaczyna nużyć swoją pustką. Niebo jest przeważnie bezchmurne, ale bywają i dni, kiedy nad górami kłębią się ciemne obłoki nadając im po-

sepny wygląd, a od dalekiego Hindukuszu dmie porywisty wiatr, wzniesając tumany pyłu.

Okres oczekiwania w Kabulu na przyjazd samochodu wyprawy wykorzystaliśmy — poza załatwieniem formalności i zebraniem materiałów topograficznych — na trening i wstępną aklimatyzację.

Rozpoczęliśmy ją od wycieczki w 9 osób w góry Paghman w dniach od 25 do 27 VII 1966 r. Grupa wyruszyła z położonej u stóp gór i tonącej w zieleni wypoczynkowej miejscowości Paghman. Skalisto-piargiste stoki gór nie nastęcają trudności technicznych. Jeszcze na wysokości prawie 4000 m spotkać można pasące się wielbłądy. Większych rozmiarów partie skalne występują tylko miejscami, zwłaszcza w północno-zachodniej części, położonej dalej od Kabulu. W czasie wycieczki osiągnięto 7 wierzchołków, wśród nich najwyższy — Tachte Turkoman, na który weszli A. Heinrich, A. Mróz i J. Poręba w dniu 26 VII 1966.

W trzy dni później J. Wala i J. Wojtusiak weszli na wspomniany Kohe Sagh (według aneroidu 2670 m), który wznosi się 12 km na południowy wschód od Kabulu, poza rzeką Logard — 850 m ponad szeroką płaskodenną doliną. Wejście, prowadzące od zacho- du poprzez grzędy, upłazki, strome płyty i stopnie skalne, w górze w terenie wspinaczkowym, było już trzecim polskim. Poprzednie, dokonane przez B. Chwaścińskiego

* Góry te, porozcinane płaskodennymi dolinami, tworzą grupy ostańców. Nie należą one już do Hindukuszu, można by je ewentualnie zaliczyć do Safed Koh.

go „towarzyszami, opisane zostały w „Taterniku” 2—4/1962, s. 83.

I wreszcie od 1 do 7 VIII 1966 ośmioosobowa grupa dokonała 14 wejść na wierzchołki o wysokości 4000—4900 m w Zachodnim Hindukuszu w okolicy Kotale Salang (3660 m), które prowadzi na północ nowa asfaltowa szośa, zbudowana przez inżynierów radzieckich. Dokładne usytuowanie przełęczy Salang nie jest nam znane. Mnie zginał szkic zrobiony z fotoplanu w Kabulu, a z działających w jej rejonie kolegów żadnemu nie przyszło na myśl, by zapytać o nią Rosjan budujących tunel. Wprawdzie w pobliżu znajduje się przełęcz 3988 m, przez którą prowadzi stara droga, ale nie wiadomo, czy jest to owa Salang, czy może przełęcz Zimistan, o której wspomina B. Chwaściński, czy wreszcie jakaś jeszcze inna.

Okolice ta znajduje się w środkowej części grzbietu rozciągającego się na przestrzeni 170 km, pomiędzy Kotale Chawak (Kotale Khawak, 3550 m) na wschodzie i Kotale Shebar (Kotale Shebar, 2970 lub 2987 m) na południowym zachodzie. Grzbiet ten tworzy wyniosły pomost między zwartym obszarem wysokogórskim, ciągnącym się od Himalajów aż po Pamir, a silnie rozczłonkowanym, choć niższym i pozbawionym charakteru alpejskiego (z wyjątkiem grzbietu Kohe Baba) pustynnym obszarem gór wnętrza Afganistanu, wypełniającym północno-zachodnią część wielkiej Wyżyny Irańskiej. Najwyższym wzniesieniem jest tu szczyt 5075 m usytuowany w bocznej grani, dla którego B. Chwaściński podaje nazwę Ouilian.

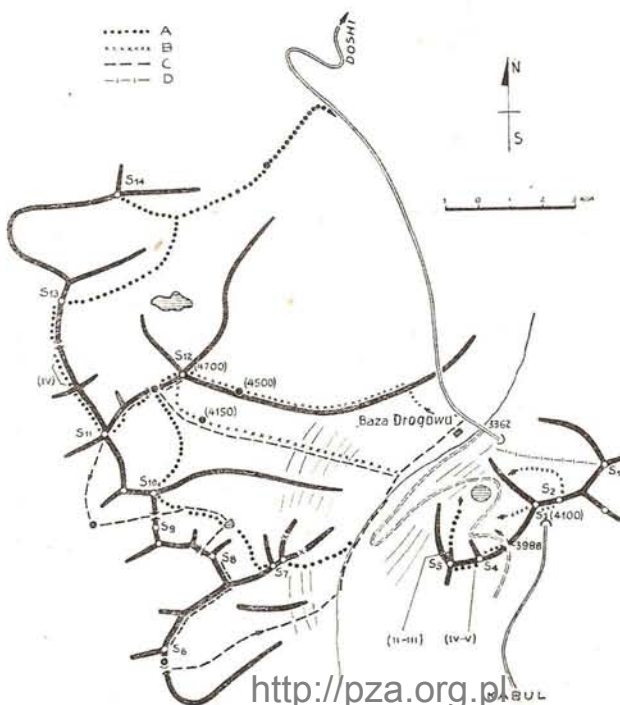
Wysokogórski krajobraz środkowej części grzbietu ulega pewnemu złagodzeniu form i obniżeniu ku obu skrajnym przełęczom. Gdy tam wierzchołki o skalnych granicach i ścianach, prawie pozbawione pokrywy śnieżnej, tworzą malownicze odosobnione grupy, tutaj, w środkowej części, mamy ostre skalne granie z urwistymi i często samodzielnymi turniami, noszące wyraźne ślady dawnego plejstocenicznego zlodowacenia, ujawniającego się również w kształcie dolin i występowaniu karów, dziś wypełnionych piargami moren i malowniczymi jeziorami. Krajobraz urozmaicają niewielkie lodowce szreniowe (stokowe) i liczne

pląty śniegu. I w tutejszym suchym klimacie można spotkać formy ablacyjne, m. in. popularne penitenty. Roślinności, podobnie jak wszędzie, jest bardzo mało, ale o ile jadąc po południowej stronie spotykaliśmy tylko krzewy i drzewa liściaste w pobliżu potoku, to zjeżdżając za tunelem na północ ku miejscowości Chindzan (Khinjan) mijaliśmy w dolinie piękne lasy iglaste, przeważnie sosnowe. Powyżej 3000 m rozciąga się piętro hal z przewagą roślinności wysokogórskiej o charakterze stepowym. Spotkać tu można pasterzy ze stadami owiec i kóz, myśliwych i koczowników, a nisko w dolinach niewielkie osiedla, gdzie w pobliżu potoków uprawia się ziemię.

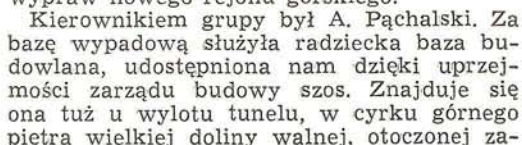
Pod względem wspinaczkowym Zachodni Hindukusz stanowi w tym rejonie teren pośredni między Tatrami a Alpami i Kaukazem. Ściany skalne sięgają kilkuset metrów i ściosane są często w gładkie płyty i ostre żebra. Skały przeważnie metamorficzne — gnejsy i łupki krystaliczne, choć są i wapień — sprawiają, że wiele partii cechuje wielka kruszyzna.

O działalności wysokogórskiej w tym rejonie nie wiadomo wiele, a identyfikacja szczytów i ustalenie pierwszeństwa wejść są obecnie niemożliwe. W r. 1965 wspinali się tutaj I. Gálffy i M. Jaškovsky z czechosłowackiej wyprawy, dokonując 6 wejść. W tym samym roku dwa wierzchołki zdobyli uczestnicy naukowej wyprawy Grötzbacha. W obu wypadkach nie podano położenia szczytów. Zwiedzali też tę okolicę członkowie innych ekspedycji, od momentu oddania do użytku szosy i tunelu na przełomie lat 1964 i 1965. Ale i wcześniej zaglądano w tę

Okolice przełęczy Salang. Szkic przedstawia działalność uczestników IV PWH. A — wędrowki i wspinaczki A. Mroza; B — wejścia R. Rodzińskiego i J. Wojtusiaka na S 3 i S 2 oraz A. Pačalskim na S 12; C — drogi A. Heinricha, J. Poręby, L. Sadusia i R. Zawadzkiego; D — wejście J. Bourgeois z R. Zawadzkiego. Czarne kropki oznaczają biwaki. Szkic opracował Jerzy Wala na podstawie informacji uzyskanych od uczestników wejść oraz fotografii.



na podst. fotoplanu opr. J. Wala



Pierwsza czwórka – A. Heinrich, J. Poręba, L. Saduś i R. Zawadzki – przybyła 1 VIII i jeszcze tego samego dnia weszła na wierzchołek S 3, a następnie w ciągu 2 dni odbyła dłuższą wycieczkę graniami przez S 12 (weszli Heinrich i Poręba), S 11, S 8

i S 6. Za tym ostatnim szczytem Saduś i Poreba zeszli w dół, a Zawadzki i Heinrich zostali jeszcze na biwak. Druga z kolei czwórka — A. Mróz, A. Pąchalski, R. Rodziński i J. Wojtusiak — przybyła 2 VIII. Dwaj ostatni weszli na przełęcz 3988 m i stąd na S 3 i S 2, a Mróz w tym samym czasie — północnym filarem na S 5 i stąd granią przez S 4 na wspomnianą przełęcz. Ostra skalna grań zmusiła go do pokonania trudności w skali IV—V. W następnych dwu dniach A. Pąchalski, R. Rodziński i J. Wojtusiak weszli wschodnią granią na S 12. Na grani tej Wojtusiak pozostał do 6 VIII zbierając okazy fauny. Mróz działał osobno, odbywając trzydniową wędrowkę przez wierzchołki S 7, a następnie przez S 10, S 12 i po biwaku S 11, częściowo bardzo trudną granią do S 13 i stąd na S 14. Przejście to dowodzi co prawda opanowania i odwagi, ale

nikogo nie zachęcam do jego naśladowania, gdyż najmniejszy wypadek uniemożliwiający samodzielny powrót, mógłby się tu skończyć bardzo przykro: w rozległym, pustym i nieznanym terenie, odnalezienie rannego byłoby tylko szczęśliwym przypadkiem. W dniu 6 VIII dołączył do grupy jeszcze J. Bourgeois, który wraz z R. Zawadzkim wszedł na S 1.

Brak czasu i sprzętu uniemożliwiał w rejonie Salang przeprowadzenie wspinaczek, ograniczając działalność do wędrowek, przy których okazji pokonywano odcinki wymagające umiejętności wspinaczki. Góry te nie były naszym celem, dążyliśmy ku znacznie wyższemu, ale i tutaj znaleźli uczestnicy IV Polskiej Wyprawy w Hindukusz interesujący zakątek, który — jak sami twierdzą — utkwiał im głęboko w pamięci.

Jerzy Wala

Maciej Kuczyński

Gouffre Berger - 1966

W sierpniu 1966 r. działały we Francji dwie wyprawy, których zdobycze zostały uznane za dwa największe osiągnięcia alpinizmu podziemnego w r. 1966 na świecie. Jedną z nich była francuska wyprawa do jaskini Pierre de Saint Martin w Pirenejach, drugą — polska wyprawa Klubu Wysokogórskiego, która atakowała jaskinię Gouffre Berger w Alpach Delfinatu, w pobliżu Grenoble. Zamiarem grupy polskiej było powtórzenie rekordowego zejścia na „dno świata”, które przedtem udało się osiągnąć jedynie trzykrotnie: dwa razy wyprawom francuskim i raz 50-osobowej ekspedycji angielskiej.

Dziesięcioosobowy zespół Klubu Wysokogórskiego, który 7 sierpnia przybył do Grenoble, był najmniej licznym z dotychczasowych. W jego skład wchodził: Janusz Baryła (Kraków), Jan Danysz (Kraków), Waldemar Karcz (Kraków), Bernard Koisar (Warszawa), Stanisław Kopeć (Kraków), Edward Ostapowski (Kraków), Apoloniusz Rajwa (Zakopane), Janusz Śmiałek (Kraków), Tadeusz Wojtera (Katowice) oraz Maciej Kuczyński (Warszawa) — kierownik wyprawy.

Zorganizowanie całego przedsięwzięcia stało się możliwe jedynie dzięki zaproszeniu przez Club Speleologique de Valence, który posiadał wykupione od władz lokalnych wyłączne prawo eksploracji jaskini w roku

1966. W ten sposób grupa polska uniknęła też wnoszenia wysokiej opłaty w gminie, oraz złożenia bardzo wysokiej kaucji na pokrycie kosztów ew. akcji ratunkowej. Z Polski przywieziono kompletny ekwipunek alpinistyczny, biwakowy (powierzchniowy i podziemny) oraz żywność spakowaną w specjalne wodoszczelne racje.

Pierwszym etapem działań był transport bagażu z Grenoble, na odległe o 40 km plateau wapienne Sornin, gdzie na wysokości 1460 m n.p.m. znajduje się otwór jaskini. Sprzęt przewieziono możliwie daleko samochodami uczestników wyprawy francuskiej, potem jeepem, a wreszcie przeniesiono wory na nosilkach po wapiennym lapiazie (silnie zerodowana chemicznie powierzchnia skał, głęboko splekana i poryta). Namioty rozbito w lesie świerkowym w obozie grupy z Walencji, dobrze zagospodarowanym i zaopatrzonym nawet w wodociąg z odległego o 3 km źródła. Na miejscu okazało się, że walentyńczycy prowadzą eksplorację górnych partii jaskini, zgadzają się też na użycie przez grupę polską rozwieszonych w studniach lin zjazdowych i drabinek, w zamian za pomoc w wyniesieniu sprzętu na powierzchnię po zakończeniu działalności.

Akcję w jaskini rozpoczęto 11 sierpnia o godz. 15. Niosąc sprzęt biwakowy i żywność weszli pod ziemię 4-osobowy zespół Śmiałek, Danysz, Karcz i Ostapowski, z zada-

niem dokonania szybkiego rekonesansu do głębokości 860 m. Konieczne było sprawdzenie umieszczonych w studniach haków i lin, a ponadto rozpoznanie przebiegu korytarzy i ogólnego charakteru trudności, szczególnie w „ciągu wodnym”.

O godz. 22.10 zespół dotarł na głębokość 640 m, stąd przekazał na powierzchnię ostatni meldunek telefoniczny. Poniżej linia była zerwana i nie udało się jej naprawić. Po 19 godzinach akcji grupa osiągnęła poziom — 860 m i założyła biwak, przygotowując go do późniejszego dłuższego pobytu, a 13 sierpnia wyszła na powierzchnię po 45-godzinym pobycie w jaskini. W tych samych dniach pozostali uczestnicy wyprawy dokonali transportu pojemników z żywnością i sprzętem poprzez system wstępnych studni i założyli skład na poziomie — 256 m.

Dzień 14 sierpnia był wykorzystany na odpoczynek i przygotowanie sprzętu oraz ostateczne opracowanie planu akcji szturmowej. Zdecydowano, iż największe korzyści daje poruszanie się pod ziemią w 3-osobowych zespołach, które postępują za sobą w 10-godzinnych odstępach. W ten sposób każdej z grup zapewnia się odwód, a w szczupłej przestrzeni obozu — 860 spotykają się naraz tylko dwie grupy.

15 sierpnia o godz. 10 wyruszyła do akcji grupa I: Smiałek, Baryła, Kopec. O godz. 20 grupa II: Karcz, Koisar, Rajwa, a po dalszych 10 godzinach — grupa III: Danysz Ostapowski, Kuczyński.

Otwór jaskini, w lesie świerkowym porastającym nagi wapień, jest studnią o średnicy ok. 3 m i głębokości 10 m. Z jej dna, oświetlonego jeszcze światłem dziennym, ciasną szczeliną przechodzi się do następnej studni pogrążonej już w zupełnym mroku. Aż do poziomu — 256 m jaskinia jest rozwinięta w formie pionowych studzien o wysokościach 20 do 50 m. Pokonuje się je zjazdami, na ogół wolnymi lub w niewielkim tylko kontakcie ze ścianą. Liny zawieszono na stalowych nitach — osobno zjazdowe, osobno służące do opuszczania pojemników transportowych. Kolejne studnie nie łączą się z sobą bezpośrednio i, aby przejść z jednej do drugiej, trzeba pokonać odcinek ciasnej i niezwykle krętej szczeliny nazwanej „meandrem”. Szczelina jest przy tym b. głęboka i trawersować ją trzeba wysoko ponad dnem. Szczególne kłopoty sprawia tu transport sprzętu.

Zjazdy do poziomu — 256 m trwają 2½ godziny, dalej zaczyna się wielki marsz z ładunkami na plecach. Około 3 km ciągnie się gigantyczny tunel, przypominający do złudzenia stromo opadający wąwóz górski. Przegradzają go liczne uskoki i progi, oraz dwa niewielkie wodospady, pokonywane w bryzgach wody — „Wodospad Małego Generała” i „Tyrolka” (kolejka linowa). Na głębokości 460 m tunel wchodzi do rozległej „Sali 13”. Jest to miejsce najbogatsze w nacieki kalcytowe. Dno zajmuje olbrzymie je-



Gouffre Berger. W obozie na głębokości 860 m. Z lewej M. Kuczyński, z prawej A. Rajwa.

Fot. Stanisław Kopec

zioro, nad którego brzegami wyrasta las kilkunastometrowych stalagmitów.

Na poziomie —600 m zaczyna się „ciąg wodny”. Rzeka, płynąca dotychczas niższym, niedostępnym dla ludzi poziomem jaskini, ukazuje się znowu i dalszy pochód odbywa się jej korytem. W wstępie tworzą się dwa długie jeziora łatwe do pokonania na łódce pneumatycznej. Za nimi nurt wpada do wąskiej, stromo opadającej szczeliny i zaczyna się wodne piekło.

Hałas wody uniemożliwia porozumiewanie się. Każda z trójosobowych grup, oprócz stałego ładunku, musi nieść z sobą łódź gumową, używając jej na głębokich przeprawach. Jeden po drugim następują wodospady pokonywane zjazdem lub zejściem po drabinie przypiętej ukośnie do ściany, poza kolumną ryczącą wody. Lądowanie odbywa się w zrzuconej uprzednio łodzi, która pozwala też przewieźć ekwipunek przez głębokie jeziora znajdujące się u stóp wodospadów.

W tych warunkach nie do uniknięcia są uszkodzenia sprzętu. Łódź przeciskana ciasnymi szczelinami trze o skałę i zaczepia o występy, a potem, obciążona ładunkiem, nadziewa się na sterczące z dna ostre głazy. Reperacje, wymagające suszenia gumy nad płomieniem świecy, trwają całe kwadransy i godziny. Temperatura powietrza wynosi 5,5°C. Grupy docierające do ciągu wodnego, mają już za sobą 18, lub 20 godzin nieustannego marszu, nie może być jednak mowy o dłuższym odpoczynku na ochlapywanych przez lodowatą wodę głazach. W takiej sytuacji III grupa szturmowa traci łódź — poważne uszkodzenie okazuje się nie do naprawienia. Zdecydowano więc dalszy pochód wpław — woda w jeziorach sięga do pasa, rzadziej do piersi.

Ostatnią wielką przeszkodą na drodze do obozu jest kaskada Claudine — potężny 15-metrowy słup wody. Miejsce to wymaga skomplikowanego trawersowania po ścianie dla uniknięcia zjazdu pod przytłaczającym ciężarem spadającej masy wodnej.

Pół kilometra dalej, na poziomie —860 m w korytarzu Wielkich Złomisk, znajduje się obóz. Sześciuosobowy namiot, materace pneumatyczne, puchowe śpiwory. Temperatura powietrza wynosi na tej głębokości już 7°C, w namiocie dzięki płonącym tabletkom spirytusu udaje się ją podnieść do 15–20°C. Pozwala to podsuszać mokre ubrania i baterie. Do gotowania posiłków służą kuchenki butanowe.

16 sierpnia o godz. 20 z obozu wyrusza pierwsza trójka szturmowa: Śmiałek, Baryła i Kopeć. Kilka metrów za namiotem ob-

rywa się pionową ścianą studnia Gache — ta przynajmniej jeszcze sucha. Następnymi spadają wodospady, wśród nich największy, 27-metrowa Wielka Kaskada.

Na głębokości 100 metrów drogę zagradza kluczowa przeszkoda: Studnia Huraganu. Wodospad ma tu wysokość 40 m, a spadająca woda wytwarza gwałtowne ruchy powietrza. Przestrzeń wypełniają chmury pyłu wodnego, piekielny hałas uniemożliwia łączność głosową. Na szczęście dno jaskini jest już niedaleko. Od stóp Studni Huraganu podziemna rzeka spływa nieco spokojniej pochyłym korytem, jej bieg zakłóca już tylko kilka progów i jezior pokonywanych na łodzi. Na koniec strop opada do wody i dalszy pochód staje się niemożliwy. To już poziom —1122 m, dno jaskini. Jest 17 sierpnia, godz. 8.30. Obok napisów francuskich i angielskich zostaje umieszczony proporzek polski i rozpoczyna się odwrót.

W tym samym czasie z obozu —860 m wyrusza w dół grupa posiłkowa, aby asekurować powracających z dna. Po 12 godzinach wspinaczki wszyscy są w obozie. Następuje przegrupowanie uczestników wyprawy i na dno wyrusza drugi z kolei zespół: Danysz, Karcz i Ostapowski, osiągając po 5 godzinach końcowy syfon i wracając do obozu po dalszych ośmiu.

19 sierpnia rozpoczyna się zwijanie ubezpieczeń w Studni Huraganu i kolejne zespoły ruszają w stronę powierzchni z ciężkim transportem sprzętu, ściągając za sobą liny zjazdowe i drabiny. 21 sierpnia ostatni uczestnik wyprawy opuszcza jaskinię. Łącznie akcja szturmowa wymagała 6 dób i 4 godziny nieprzerwanego pobytu pod ziemią. Przez cały ten czas dyżur telefoniczny w obozie pełnił T. Wojtera.

Po jednym dniu odpoczynku trzy grupy dokonały zejścia na głębokość 700, 500 i 256 metrów celem wyniesienia pozostawionego tam sprzętu. Akcja transportowa trwała 30 godzin i ostatecznie zamknęła działania w Gouffre Berger.

*

Polskie przejście jaskini było IV z kolei, przy tym dokonane przez najmniej liczny zespół. Z grupą francuską nawiązano bliską i serdeczną współpracę. Szczególnie wiele zawdzięcza wyprawa Fernandowi Petzlowi (CAF), szefowi Protection Civile pięciu departamentów, jednemu z najwybitniejszych speleologów francuskich. Obóz polski wielokrotnie odwiedzali dziennikarze a o przebiegu wyprawy ukazywały się stałe doniesienia w prasie.

Nowe jaskinie w Małolączniaku

Mimo stosunkowo gruntownego poznania Tatr Zachodnich, istnieją w nich ciągle jeszcze możliwości dokonywania nowych odkryć jaskiniowych. Tak na przykład w roku ubiegłym lista jaskiń tatrzańskich wzbogaciła się m. in. o 3 nowe, usytuowane w Małolączniaku.

Dnia 2 VII 1966 w czasie wycieczki powierzchniowej zorganizowanej podczas zlotu jaskiniowego, w podszczytowej partii Małolączniaka, powyżej Kotlin, ok. 1830 m n.p.m., P. Kawecka, Ch. Parma, A. Lach, A. Karcz, A. Kobylecki i M. Olech odkryli nieznana dotychczas jaskinię, nazwaną później Nad Kotlinami.

Otwór wejściowy był zasypany metrowej grubości warstwą piargu i oczyszczenie go zajęło kilka godzin. W dniu odkrycia zbadano zaledwie parę metrów jaskini, tuż poniżej otworu, gdyż poza pochodniami zrobionymi z gazet odkrywcy nie mieli z sobą żadnego światła. Rzucając kamienie stwierdzono, że poniżej znajduje się głęboka studnia. Na drugi dzień wyruszyli do jaskini A. Lach, M. Olech i Ch. Parma. Ten ostatni zjechał na dno studni, a następnie zszedł kilkanaście metrów w dół stromym piarzystym korytarzem. Nie dotarł jednak do jego końca, gdyż nie pozwalała mu na to lina asekuracyjna. W sumie osiągnął głębokość 90 m.

W kilka dni później, 12 VII, członkowie Koła Naukowego Geodetów WSR w Krakowie, J. Górski, L. Łapiński i St. Marczyk wykonali pod kierownictwem A. Kobyleckiego pomiar usytuowania jaskini Nad Kotlinami w stosunku do niektórych sąsiednich jaskiń — Śnieżnej, Małolączkiej, Ratusza i kilku innych, oraz w przybliżeniu określili wysokość n.p.m.

Dnia 20 VII 1966 r. udała się do Jaskini Nad Kotlinami grupa z STJ Kraków w składzie: G. Haczewski, M. Lewandowski (kierownik) i St. Patyk. W czasie 7-godzinnej akcji osiągnięto głębokość 110 m. Dalsze posuwanie zahamowała studnia, której z braku sprzętu nie można było pokonać. STJ Kraków urządziła więc następną wyprawę, w której uczestniczyli A. Bałanda, B. Goch, G. Haczewski, H. Kawecka, A. Kobylecki, M. Lewandowski (kierownik), A. Skwirczyński oraz Z. Wójcik (STJ Warszawa). W dniach 11 i 12 IX, w czasie 5- i 8-godzinnych wejść osiągnięto głębokość 135 metrów, sporządzono też szkicowy plan jaskini. Dalszych odkryć dokonali tu członkowie wyprawy AKG z Gliwic, trwającej od 2 do 7 X 1966 r. (kierownik Ch. Parma). Odkryto kilkadziesiąt metrów korytarza prowadzącego spod Studni Złotowej w górę, oraz pokona-

no 18-metrowy ślepy komin zaczynający się niedaleko dna studni.

W trakcie powyższych wypraw nie zbadano do końca szeregu bocznych korytarzy i nie próbowano przedostać się niżej w miejscu, gdzie na głębokości 135 m ginie między kamieniami woda. Dlatego też pewne jest, że kolejne wyprawy do Jaskini Nad Kotlinami przyniosą nowe, być może rewelacyjne odkrycia.

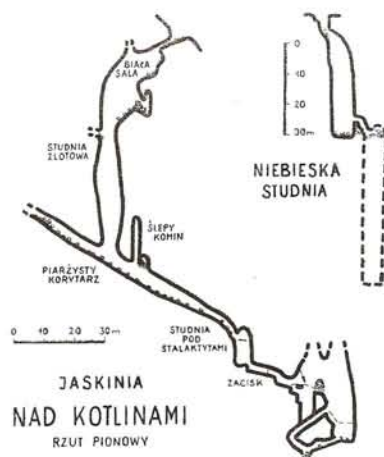
W jesieni ubiegłego roku (8 X), 15 metrów powyżej Jaskini Nad Kotlinami, A. Kobylecki i P. Malinowski z STJ Zakopane odkryli 10-metrowej głębokości Jaskinię Omśzałą. Z dna jej prowadzą w dół małe, zasypane kamieniami studzienki, wychodzą też ciasne korytarzyki.

Kolejnym większym sukcesem w tym rejonie było odkrycie Niebieskiej Studni dokonane przez A. Kobyleckiego i Z. Skwirczyńskiego (STJ Kraków) w dniu 9 X 1966 r.

Niebieska Studnia usytuowana jest również w podszczytowej partii Małolączniaka, ale już ponad Doliną Litworową, na wysokości ok. 1870 metrów n.p.m., w pobliżu szlaku turystycznego. Właściwe wejście znajduje się w zarośniętym trawą dnie 5-metrowej studzienki. Było ono zasypane, a oczyszczenie go zajęło niecałą godzinę. W dniu odkrycia stwierdzono, że pod „korciem” znajduje się właściwa kilkudziesięciometrowa studnia. Dnia 15 X zjechał do niej, A. Skwirczyński, osiągając głębokość 40 m. Kilka metrów ponad dnem znajduje się przejście nad następną — sądząc po czasie spadania kamieni — ponad 50-metrową studnią. Jednak dalsza eksploracja z powodu dużej ilości „wiszących” złomów była niebezpieczna.

Wydaje się, że po pokonaniu drugiej studni otworzą się i w tej jaskini możliwości dalszych odkryć.

Andrzej Kobylecki



Jan Długosz 1929–1962

3 i 4 lipca 1962 roku całą polską prasę obiegła nagła wiadomość: w dniu 2 lipca, wczesnym popołudniem, zginął w Tatrach Jan Długosz. „Uległ wypadkowi w poniedziałek — głosiły notatki — odbywając kontrolę taternickich grup szkoleniowych na grani Zadniego Kościelca. Szedł sam, bez asekuracji. Jego zwłoki znaleziono w Żlebie Drewnowskiego. Jak twierdzi GOPR, wypadek nastąpił wskutek bardzo niepomysłnych warunków atmosferycznych (oblodzenie ścian)”.



Urodził się 12 lipca 1929 roku. Kiedy rozpoczęła się wojna miał dopiero lat dziesięć, nie oszczędziła mu ona jednak ciężkich i bolesnych przeżyć. Po wojnie zdał maturę i odbył studia w krakowskiej Wyższej Akademii Handlowej — w dziedzinie, która właściwie nie interesowała go bliżej nigdy. Z taternictwem zetknął się w roku 1946, na kursie wspinaczkowym TS „Wisła”, od roku 1948 uprawiał je już systematycznie — w lecie i w zimie. Skalki Jury, Tatry, Alpy, Kaukaz... Góry stały mu się drugim domem. Bawił w nich co sezon po parę miesięcy, dochodząc do coraz to lepszych osiągnięć. W roku 1953 widzimy go w ścisłej czołówce, w latach sześćdziesiątych jest już jedną z najwybitniejszych postaci w całej historii taternictwa i alpinizmu polskiego. Górom wysokim pozostał wierny nieprzerwanie — aż do śmierci, która osiągnęła go także w górach.

Swą działalnością zamknął w taternictwie całą epokę, a jego znaczenie ma rangę podobną do tej, jaką osiągnęli Świerz, Stanisławski czy Orłowski. Kiedy rozpoczął karierę wspinaczkową, trwał niezbyt korzystny okres w dziejach naszego taternictwa. Klub Wysokogórski nie wrócił jeszcze do równowagi po wstrząsie wojennym, a już zaczęły się perturbacje organizacyjne i ideo-

logiczne. Praktycznie biorąc nie było możliwości wyjazdów za granicę, a zagranicą stały się nawet Tatry Słowackie! Nic więc dziwnego, że Długosz rozwinął działalność najpierw we własnych górach, skupił przy tym uwagę nie na powtórzeniach, lecz na rozwiązywaniu istniejących jeszcze problemów. Ma w swoim dorobku około piętnastu ważniejszych pierwszych wejść letnich i tyleż samo zimowych. Niektóre z nich miały w rozwoju taternictwa znaczenie przełomowe. Dopiero po dziesięciu latach wspinania — w roku 1957 — zobaczył po raz pierwszy Alpy. Dwa następne sezony letnie spędził w Kaukazie (1958 i 1959), dwa dalsze (1960 i 1961) ponownie w Alpach. Znalazłszy się w górach wyższych niż Tatry, z właściwym sobie rozmachem podejmował przejścia najtrudniejsze i kończył je zwycięsko, stając wkrótce w rzędzie najlepszych alpinistów Europy.

Organizacyjnych godności nie dostąpił zbyt wielu, bo też nie był typem działacza, umiającym się podporządkować zbiorowej dyscyplinie i ideologii. Należał do Koła Krakowskiego KW, miał stopień starszego instruktora — chętnie i szeroko wykorzystywany w pracy szkoleniowej. W latach 1956–1958 wchodził w skład Zarządu Głównego KW, gdzie powierzono mu kierownictwo Komisji Sportowej. Od roku 1960 był kandydatem w Grupie Tatrzańskiej GOPR, często uczestnicząc w akcjach ratunkowych — czy to oficjalnych, czy też spontanicznie organizowanych przez wspinaczy.

Taternicki awans Długosza najlepiej ilustruje zamieszczony w dalszej części numeru wykaz jego dokonań. Jakkolwiek zestawienie to sporządzono z wielką troską o wybór rzeczy najważniejszych, przy jego lekturze trzeba koniecznie uwzględnić element przypadkowości: powinno się w nim znaleźć dużo więcej dróg — nie gorszych od wielu wymienionych. Długosz odbył w Ta-

trach kilkaset wspinaczek. Lista obejmuje kilkadziesiąt z nich, a prawie każda mogłaby się stać ozdobą wykazu wejść niejednego dobrego taternika.

Sumą swych osiągnięć letnich i zimowych stał się Długosz niewątpliwie najwybitniejszym taternikiem polskim lat powojennych, co oczywiście nie wszyscy chcieli dostrzegać. Można chyba również zaryzykować opinię, że jest jednym z paru najwybitniejszych w ogóle, zwłaszcza, jeśli jako kryterium oceny przyjmie się jakoś dokonywanych przejść. Długosz udowodnił, że w spenetrowanych zdawałoby się do reszty Tatrach można wyszukać piękne, zupełnie nowe drogi. Przyszłość szybko to w pełni potwierdziła. Spośród wielu pierwszych wejść Długosza, trzy uznawane są za przełomowe dla naszego taternictwa: dwa letnie — lewa połać Kazalnicy (1955) i Wariant R na Mniuchu (1955), oraz jedno zimowe — środek Kazalnicy drogą Łapińskiego i Paszuchy (1957). Zastosowanie nowej techniki — nitowania na „Lewej” oraz nitów i „jedynek” na Wariancie R — było zastrzykiem świeżości w technice sztucznych ułatwień, otwierającym jej nowe rozległe perspektywy. Natomiast porwanie się na „środek” Kazalnicy w pełni ostrej zimy przełamało opory psychiczne przed atakowaniem największych problemów zimowych — od tego przejścia zaznacza się przecież wyraźny postęp i rozmach w podejmowaniu zimowych wypraw w Tatrach.

Zarówno „Lewa” jak i Wariant R były w rozwoju taternictwa krokiem naprzód w równej mierze w zakresie „suchej” techniki wspinania, jak też w dziedzinie „ośmienia” taterników do ścian uznawanych dawniej za niemożliwe do pokonania. Obie te drogi, uznawane do niedawna za najtrudniejsze w Tatrach, uważać trzeba za najmocniej reprezentatywne dla taternictwa Długosza, a także dla całej jego generacji. To one przecież pozwoliły młodszemu pokoleniu — w dużej liczbie wychowankom Długosza — zaatakować problemy jeszcze większe i trudniejsze.

Bogaty i wielostronny jest też dorobek alpinistyczny Długosza poza Tatrami, rozpoczęty w roku 1957 zuchwałym atakiem na zachodnią ścianę Petit Dru.

Ośme przejście tej drogi, w zaledwie pięć lat po jej zdobyciu, stanowiło osiągnięcie alpejskie najwyższej klasy. Świeżo w pamięci były wtedy trzydziestoletnie boje o zdobycie tego wspaniałego urwiska, uznawanego w swoim czasie za najtrudniejsze w Alpach. Kiedy Długosz stawał u stóp ściany wiedział, że przed nim drogę przebyło tylko siedem zespołów, złożonych z alpinistów znanych z osiągnięć w Alpach, Himalajach czy Andach, że będzie szedł niemal wprost po śladach legendarnego Hermanna Buhla,

który dokonał przejścia szóstego. Sukces naszej trójki na Dru miał wyjątkowe znaczenie dla rozwoju alpinizmu polskiego: była to pierwsza wielka droga o tak dużych trudnościach pokonana przez Polaków. Przewyższała ona — nawet relatywnie biorąc — wszystkie najlepsze alpejskie i kaukaskie przejścia naszych wspinaczy z lat poprzednich, stanowiła przełamanie „bariery lęku” i otwierała erę coraz to śmielszych ataków polskich na najtrudniejsze urwiska Alp i Dolomitów.

Alpejski rozmach przeniósł Długosz i w Kaukaz. Północną ścianę Ullu-tau-Czany (1958) jego zespół pokonał jako pierwszy w ciągu jednego dnia, a na filarze Szchary (1959) — skrócił o cały dzień najlepszy czas z wcześniej osiągniętych. Również tu nie opuszcza Długosza żylka zdobywcy nowych dróg: w lecie 1959 roku dokonał I wejścia na bezimienną turnię, nazwaną później żartobliwie „Pik Warszawa”, a następnie zaatakował piękny południowy filar Dych-tau. Burza zwróciła zespół spod samego wierzchołka, nowa droga została jednak wytyczona i doprowadzona do starej drogi Mummery’ego.

Za swój życiowy sukces alpinistyczny uważał Długosz udział w I wejściu centralnym filarem Fréney na Mont Blanc w sierpniu 1961 roku. Filar ten — jeden z ostatnich wielkich problemów alpejskich — był po raz pierwszy atakowany w roku 1959 przez W. Bonattiego i A. Oggioniego. Drugą próbę przeprowadził w roku 1961 doskonały zespół włosko-francuski, zakończyła się ona jednak tragicznym odwrotem, w którym zginęło z wyczerpania czterech alpinistów, a ocalało tylko trzech. Kolejny atak na „straszliwy” filar przypuściła świetna dwójka francusko-włoska, P. Julien — I. Piussi. I oni wskutek zgubienia części sprzętu i złej pogody musieli się wycofać.

Czwarty atak, w wykonaniu zespołu angielsko-polskiego z udziałem (w górnej części filara) grupy francusko-włoskiej, przyniósł w dniach od 27 do 29 sierpnia 1961 roku pełny sukces i pokonanie słynnej drogi. Prasa zachodnia pełna była relacji z przejścia filara, dyrektor ENSA, Jean Franco, składał alpinistom oficjalne gratulacje w imieniu rządu francuskiego, a Długosz wraz z trzema Anglikami został zaproszony na członka Groupe de Haute Montagne.

Mimo osiągnięć najwyższej miary w Alpach i w Kaukazie, Długosz uważał się jednak przede wszystkim za taternika i głównie jako taternik przechodzi do historii. „Za te trzy dni na Kazalnicy oddałbym z chęcią nawet siódme przejście Petit Dru” — napisał sam kiedyś. Był taternikiem-poszukiwaczem i odkrywcą, wielkim inicjatorem i nowatorem, taternikiem zu-

27 sierpnia 1961 r. pod Filarem Fréney. Jan Długosz stoi po prawej.

Fot. Chris J. S. Bonington

chwałym i zakochanym po uszy w Tatrach. Ale świat jego zainteresowań na górach się nie kończył.

Interesował się muzyką (sam ją amatorsko uprawiał), — malarstwem, literaturą, filmem. Jego ulubioną lekturą była współczesna proza amerykańska, którą z dużym wysiłkiem gromadził i kompletował. Sam również pisał. Pozostał po nim rozdział o przejściu zachodniej ściany Petit Dru w książce „Burza nad Alpami” (1958), pozostała piękna książka „Komin Pokutników” — w ogólnym zarysie gotowa już wiosną 1960 roku, a wydana dopiero w roku 1964, już po śmierci autora. Pozostało sporo opowiadań i artykułów rozproszonych po kilkunastu czasopismach, takich, jak: „Głos Sportowca”, „Dziennik Polski”, „Echo Krakowa”, „Przekrój”, „Wierchy”, „Taternik”, „Zdarzenia”, „Turysta” i „Światowid”, „Życie Warszawy”, „Poznaj Świat”, „Tygodnik Polski”, „Kulisy”, „Polityka”, „Gazeta Robotnicza”, „Express Wieczorny”. Pozostała wreszcie teka wierszy, znanych tylko, jak dotąd, nielicznemu gronu osób z jego najbliższego otoczenia.

W roku 1954 Długosz grał główną rolę w filmie sportowo-taternickim „Na śnieżnej grani”, nakręconym w ciężkich zimowych warunkach przez B. Pindelskiego i nagrodzonym drugą nagrodą w konkursie na film amatorski. Zainteresowania filmem wróciły do niego z innej strony: wiosną 1962 roku napisał scenariusz do krótkometrażówki „Zamaria Turnia”, zrealizowanej w lecie przez S. Sprudina. Zamierzał pisać scenariusze filmowe o tematyce psychologicznej i górskiej. Na tydzień przed śmiercią opowiadał, że zaczyna mu się układać współpraca z wydawnictwem i z „Piwnicą Krakowską”, że ma tyle ciekawych planów, iż chyba przestanie się wspinać.

Nie zdążył przestać i nie byłby przestał. Na jego bogatą osobowość składało się wiele warstw. Był Długosz bohaterski; człowiek czynu, twardy, męski typ — i był jednocześnie Długosz romantyk, liryk, ukrywający łzę wzruszenia. Był Długosz ironiczny, sarkastyczny (zrażał tym sobie niekiedy ludzi) i był Długosz gotowy do najwyższych poświęceń dla drugich. Był Długosz racjonalista, wytrawny strateg precyzyjnie oceniający sytuację, umiejący skupić się na najistotniejszym w danej chwili działaniu i był Długosz metafizyk — przesądny, ocierający się o moce nadprzyrodzone, czujący oddech jakichś innych światów. „Kiedy czytam o wyczynach twojego siostrzeńca... uwielbiam go i podziwiam. Są to chyba ostatni błędni rycerze ginącego romantyzmu



i bohaterstwa w tym zmaterializowanym świecie” — pisała pewna Francuzka do ciotki Długosza.

✱

Mając lat dziewiętnaście sformułował swoje, trochę dziecinne jeszcze, ale na pewno szczerze credo:

*Dziś moje życie płynie w trudzie
Lecz kiedy będę już dorosłym
Wtedy pokażę co potrafię
I patrzeć będą na mnie ludzie.*

Cel ten osiągnął — ale po drodze do niego, dzięki swej wrażliwości i ciekawości świata, odnalazł w górach i poprzez góry całe bogactwo przeżyć i doznań, które od pewnego punktu stało się chyba ważniejsze, niż sam cel.

Długosz zginął.

Plakaliśmy po nim.

Bernard Uchmański

Ważniejsze przejścia J. Długosza

W ciągu 15 lat działalności górskiej Jan Długosz dokonał kilkuset wspinaczek. Poniższe zestawienie obejmuje kilkadziesiąt ważniejszych – w porządku chronologicznym i w podziale na grupy górskie.

W Tatrach

Swinica. I wejście zimowe pn. filarem – z M. Gajewskim, 18 IV 1949.

Cubryna. I wejście środkiem pn.-zach. ściany – z P. Vogiem, 24 VIII 1949.

Cubryna. I wejście prawą częścią pn.-zach. ściany – z N. Gorską, O. Gorską i T. Jurkowską, 24 VII 1950.

Zabi Szczyt Niżni. Wejście „Granią Apostołów” z rozwiązaniem kilku nowych wariantów – z O. Gorską, 2 VIII 1950.

Mięguszowiecki Szczyt. Przejście pn.-wsch. grzędą z nowym wariantem (bliżej ostrza filara, WHP 890N) – z A. Bilińskim, 22 VIII 1950.

Zawratowa Turnia. I wejście nową drogą pn.-zach. ścianą – z H. Sobocińską, J. Kotem i towarzyszem, VIII 1951.

Wyżnia Mnichowa Przełęczka. I wejście wprost kominem Stanisławskiego – z K. Filkiem, 6 IX 1951.

Świstowa Czuba. I wejście lewą częścią ściany – z A. Hrebendą, 7 IX 1951.

Granaty. IV wejście kominem Dręga – z A. Hrebendą, 14 IX 1951.

Kościelec. II wejście zach. ścianą kominem Świerza – z T. Nowickim, 16 IX 1951.

Buczynowa Strażnica. Wejście kominem Pokutników – z A. i J. Walami, 16 VIII 1952.

Mięguszowiecki Szczyt. II wejście zimowe środkiem pn. ściany (direttissima) – z A. Skoczylasem, 12 IV 1953.

Mięguszowiecki Szczyt Pośredni. I przejście zimowe pn. ścianą drogą Świerza – z W. Komusińskim, A. Skoczylasem i J. Strojnym, 16 i 17 IV 1953.

Kazalnica Mięguszowiecka. I przejście zimowe prawej strony pn.-wsch. ściany drogą Korosadowicza – z W. Komusińskim, 21 i 23 IV 1953.

Wolowa Turnia. II przejście pn. ściany drogą Worwy – z H. Jodłowską, J. Dejem i B. Wiśniowskim, VII 1953.

Mnich. I wejście ściśle pn.-wsch. kaniem – z A. Grabianowskim, Z. Skoczylasem i M. Stefańskim, 18 i 19 VII 1953.

Grań kotłiny Morskiego Oka. I przejście od Opalonego Wierchu po Zabią Czubę – z H. Jodłowską, VIII 1953 (3 dni).

Zawratowa Turnia. I wejście zimowe pn.-wsch. ścianą – z J. Honowskim, S. Kozłowskim i J. Mitkiewiczem, 25 IV 1954.

Szpiglasowy Wierch. I wejście wsch. filarem – z B. Berchatem i J. Pilitowskim, 20 IX 1954.

Zamarła Turnia. Wyprostowanie drogi Siedleckiego na pd.-wsch. ścianie – z J. Pilitowskim, 25 IX 1954.

Grań doliny Pańszczycy. I przejście zimowe – z J. Stojnym, A. Wilczkowskim, Z. Tumilowiczem, J. Serafinem i J. Pilitowskim, 25 i 26 II 1955.

Kazalnica Mięguszowiecka. I wejście lewą częścią pn.-wsch. ściany – z Cz. Momatiukiem, 19–21 VII 1955. Poprzednio próba z A. Bilińskim, 26 VIII 1950.

Mnich. Wejście wsch. ścianą drogą Łapińskiego – z A. Bilczewskim, 7 IX 1955.

Kołowy Czubik (Velký hrb, 2210 m). I wejście pn.-zach. grzędą – z M. Skroczyńską i A. Puškąsem, 11 IX 1955.

Mały Kieźmarski Szczyt. Wejście pn. ścianą – z A. Pietschem, 21 IX 1955.

Łomnica. Wejście zach. ścianą przez „Hokejkę” – z A. Pietschem, 22 IX 1955.

Mnich. I wejście środkiem wsch. ściany (Wariantem R) – z A. Pietschem, 12 i 13 X 1955. Upřednio próby z J. Walą (1952 i 1953) oraz z A. Bilczewskim i Cz. Momatiukiem (14 i 15 VIII 1955).

Cubryna. I wejście zimowe lewym filarem pn.-wsch. grzędą, drogą Vogla – z A. Pietschem, R. Sledziwskim i J. Zukowskim, 6 i 7 I 1956.

Mięguszowiecki Szczyt. I wejście zimowe pn.-wsch. grzędą – z A. Pietschem, 28–31 III 1956.

Zabi Turnia Mięguszowiecka. III wejście środkiem pn. ściany – z M. Popką, 31 VIII 1954.

Kościelec. VI wejście zach. ścianą drogą Dziędzielewicz – z M. Popką, 2 IX 1956.

Galeria Gankowa. Wejście pn. ścianą drogą Stanisławskiego – z J. Pilitowskim, 10 IX 1956.

Kazalnica Mięguszowiecka. I wejście zimowe środkiem pn.-wsch. ściany – z Cz. Momatiukiem, A. Pietschem i M. Wasińskim, 6–8 III 1957.

Niżnie Rysy. Wejście zimowe pn.-zach. ścianą – samotnie, 1956.

Mięguszowiecki Szczyt. Wejście zimowe pn. ścianą – samotnie, 28 III 1957.

Kocioł Kazalnicy (tzw. Sanktuarium). I wejście od dołu – z M. Popką, 15 VII 1958. Poprzednio próba z J. Walą, 28 VII 1953.

Granaty. III wejście zimowe kominem Dręga – z M. Baranowskim, 28 II 1959.

Buczynowa Strażnica. I wejście zimowe kominem Pokutników – z M. Baranowskim, R. Berbeką i Z. Jakubowskim, 19 III 1959.

Kościelec. Wejście zimowe zach. ścianą kominem Świerza – z R. Berbeką, 21 III 1959.

Wolowa Turnia. I wejście zimowe kominem Stanisławskiego – z M. Baranowskim, R. Berbeką i J. Biedermanem, 27 III 1959.

Wolowa Turnia. I wejście zimowe środkiem pn. ściany – z R. Berbeką, J. Biedermanem i J. Panfilem, 4 IV 1959.

Mięguszowiecki Szczyt. Wejście zimowe wsch. ścianą drogą Świerza – z J. Biedermanem i J. Panfilem, IV 1959.

Zabi Szczyt Niżni. I wejście zimowe środkowym filarem pn.-zach. ściany – z R. Berbeką, Z. Jurkowskim i A. Nowackim, 20 IV 1959.

Zółta ściana. Wejście drogą Cagaśika – z J. Hierzykiem, 2 XI 1960.

Grań Kasprowy Wierch – Wołoszyn. Przejście zimowe – z Andrzejem Skoczylasem, 15 IV 1961.

Galeria Gankowa. I polskie wejście zimowe kominem Łapińskiego w pn. ścianie — z Z. Jurkowskim, 27 IV 1961.

W Alpach

Petit Dru (3733 m). VIII wejście zach. ścianą — z S. Bielem i Cz. Momatiukiem, 31 VII–2 VIII 1957.

Le Grand Capucin (3858 m). Wejście wsch. ścianą drogą Bonattiego — z Cz. Momatiukiem, 22 i 23 VIII 1960.

Eiger (3970 m). Wejście od pd.-zach. i zach. granią — z Cz. Momatiukiem, 25 VII 1961.

Mont Blanc (4807 m). I wejście środkowym filarem Fréney —

z C. Boningtonem, Y. Cloughem i D. Whillansem, 27–29 VIII 1961.

W Pirynie

Grań od Koteszki Czał do Banderiszkii Czukar — z Z. Siwak, W. Danowskim, E. Rozwadowskim i A. Skoczyłsem oraz 6 Bułgarami, 31 III–2 IV 1958.

W Kaukazie

Pik Szczurowskiego (4269 m). Wejście pd.-wsch. granią — w 11-osobowej grupie, 31 VII 1958.

Ullu-tau-Czana (4207 m). VIII wejście środkiem pn. ściany — z K. Berbeka, A. Fiedorowem, E. Liskowem, J. Mostowskim

i A. Sidwą, 8 VIII 1958. Zejście na przełęcz Garwasz, 9 VIII.

Baszcha-Auz-Baszy. I wejście na bezimienną turnię (ok. 4000 m, „Pik Warszawa”) w pd.-zach. grani tego szczytu — z B. Kunickim, J. Surdelem i L. Utrackim, 4 VII 1959.

Dych-tau (5204 m). Przejście nowej drogi rozwiązującej pd. filar głównego wierzchołka, bez wejścia na szczyt; zejście z wysokości ok. 5100 m drogą Mummery’ego — z B. Kunickim i J. Surdelem, 9 VII 1959.

Szchara (5201 m). VI wejście pn. filarem — z B. Kunickim i J. Surdelem, 14 i 15 VII 1959. Zejście pn.-wsch. granią.

Opracował: Jerzy Wala

Jan Długosz

Filar Świnicy

Pierwszy wyczyn sportowy Jana Długosza i jego pierwsza drukowana relacja taternicka: I zimowe przejście północnego filara Świnicy. Przedruk z gazety o nie ustalonym tytule (początek maja 1949 roku?) — wycinek udostępnił nam Michał Gajewski.

W poniedziałek wielkanocny 18 kwietnia br. o godzinie szóstej rano wyruszyliśmy z Hali Gąsienicowej.

Już w godzinę byliśmy pod ścianą i rozpoczęliśmy wspinaczkę. Po wejściu na ścianę idąc stromymi płaszczyznami śnieżnymi, kierowaliśmy się na filar. Na wysokości sześćdziesięciu do siedemdziesięciu metrów wchodzimy we właściwy filar. Tu pojawiają się pierwsze, choć niezbyt groźne trudności. W tej części filar był na ogół słabo ośnieżony, choć silnie oblodzony, tak, że trzeba było iść bardzo ostrożnie. Każde poślizgnięcie groziło katastrofą.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów natrafiliśmy na pierwszy uskok, który obeziliśmy z prawej strony eksponowanym trawersem i piękną, ostro oblodzoną ścianką wydostaliśmy się znów na filar. Idąc dalej, zbliżyliśmy się do drugiego uskoku. Po chwili namysłu, forsujemy go metodą podciągania. Po wbiciu haka na wysokości ręki, podciągamy z dołu mojego towarzysza, który z wielkim wysiłkiem wydostaje się na śnieżną grzędę, parę metrów wyżej. Wówczas nastąpił najbardziej groźny moment wypra-

wy, który o mały włos mógł skończyć się tragicznie.

Kiedy podciągnięty przez towarzysza pokonywałem trudny uskok, lina werżnęła się w czapę śniegu ponad moją głowę, straciła ją i oparła się o duży głaz. Zanim zdołałem cokolwiek przedsięwziąć, głaz z hukiem odpadł i przeleciał dosłownie o centymetry od mojej głowy.

Dalej droga przebiegała bardzo eksponowanymi grzędami i trawersami aż do trzeciego najtrudniejszego uskoku. Składał się on z płyt nachylonych bardzo silnie w dół, usuwających się, i opadających kaskadami. Ekspozycja była ogromna.

Michał (Gajewski) ruszył pierwszy i bardzo ostrożnie zaczął pokonywać niebezpieczne miejsce, ryzykując odpadnięcie. Na szczęście tak on jak później i ja, przeszliśmy to bardzo trudne miejsce bez odpadnięcia.

Trawersujemy teraz kilka metrów w prawo, po czym znów kierujemy się na filar. Poczęliśmy odczuwać silne zmęczenie. Nogi i ręce zaczęły nam odmawiać posłuszeństwa, gdyż każdy krok trzeba było okupić utratą masy energii i tylko świadomość, że szczyt jest już blisko, pobudzała nas do ponawiania wysiłków.

Bardzo eksponowanymi płytami zdążaliśmy krok za krokiem coraz wyżej. Dochozimy do nowego i jak się potem okazało, już ostatniego trudnego miejsca.

Był nim kilkumetrowy silnie eksponowany śnieżny trawers, zakończony męczącym wejściem na śnieżną grzędę. Największą trudnością było to, że oprócz braku chwytów na gładkiej ścianie nie było też nigdzie szczeliny, gdzie można by wbić hak i pewnie zaasekurować. Mimo, że w razie odpadnięcia groził upadek z wysokości ponad ośmiu metrów, Michał zaryzykował. Posuwając się krok za krokiem — przeszedł trudny trawers i ostatnim wysiłkiem wspiał się na śnieżną grzędę.

Anna Skoczylas

Każdy ma kiedyś dosyć

— Śniła mi się szafa z sukniami. Upychałam drzwi kolanem, bo nie chciała się zamknąć. Potem mnie rozboleło kolano i było bardzo ciężko tak wciąż te drzwi trzymać, żeby suknie nie wyleciały i... zbudziłam się. No, wiesz już?

— Brm... hmm... — zaburczał w odpowiedzi — ciekawe masz sny w taką noc, ty-powo babskie...

Siedzieliśmy z podkurczonymi nogami w mokrej trawie i męczyło nas zimno, takie jak tylko bywa na biwaku, kiedy się przemoczyło wszystkie łachy i nie ma co jeść. Naprzeciw ciągle te same bałuchy Buczynowych, ledwo rysujące się w ciemności i ryczący potok w dole.

Wczorajszy dzień zaczął się normalnie. Od pewnego czasu przestaliśmy się przejmować wspinaniem. Wychodziło się więc skoro świt o jedenastej, a później i tak jakoś się zdążało. Wszystko jedno co by za droga była. Przy końcu lata obojętnie robiło się z czterogodzinnej czwórki-piątki dwugodzinną trójkę na spacer. I tak było w sam raz po obiedzie, gdy dochodziliśmy pod tę naszą ścianę, zboczem pełnym borówek. W końcu już trzeba było się zwinąć i Janek miał iść, więc wyciągnął jeszcze z kieszeni przewodnik i poczytał trochę jak to ma być, ale mu się przedko znudziło i poszedł sobie po prostu w górę, nie oglądając się za drogą. Niedługo zrobiło się trochę więcej niż cztery, a potem to już całe pięć, kiedy siedziałam jak jaśkółka na stopniu pod zacięciem i bałam się, a na głowę spadały mi kłatwy Jaśka, kupy trawy i błota, bo taka to była ściana, wreszcie deszcz. Trwało to wszystko ładną chwilę i nawet deszcz ustał, za to poleciały w dół haki, cały pęczek, nie wiadomo po co. Zrobiło mi się przez moment głupio, ale to jego głowa w tym; co będzie to będzie. I kiedy przyszła na mnie kolej okazało się, że jest

Mimo rosnącego silnego znużenia i mnie udało się to samo. Ostatnią poważną przeszkodę mieliśmy za sobą. Posuwamy się teraz stromymi płatami śniegu — szczyt był tuż, tuż... Nagle Michał wy dostał się na zalaną słońcem kopę śnieżną i usłyszałem jego radosny okrzyk:

„Jestem na szczycie!”

O tempie naszej wspinaczki niech mówią nie wymagający chyba komentarzy czas wspinaczki: sześć godzin.

naprawdę trudno a do tego mokro i wszystkich wbitych haków to już na pewno wybić się nie da, może najwyższe dwa, więc niech sobie siedzą jak im dobrze. Te inne — już dalej — wyskoczyły same, kiedy odpaliłam drobny lot na trawersie, miałam je z głowy, nie musiałam się martwić tylko o to, żeby szybciej, bo tej drogi w górę była jeszcze cała kupa. A Jankowi wciąż było za łatwo, ciągle szukał trudności na tej ścianie, gdzie obok można było paść barany, więc mu powiedziałam, żeby się przestał wyglupiać, bo zaraz będzie głucho i ciemno. Zwymyślał mnie i ruszył znowu prosto w górę, cały wyciąg czarnej skały w kompletnym pionie, od razu widziało się, że o czwórce nie ma mowy, za to na pewno będzie w końcu sześć, więc gdy słowo stało się ciałem, Jaśkowi osłabła nieco wola walki — razem z nocą, która spadła niepokojąco szybko, Zjechał, zostawiając w górze jeszcze jakieś haki.

Z głupimi minami spróbowaliśmy z kolei w dół. Tym terenem od baranów, który widniał z boku, ale co jakiś czas był poprzerywany przewieszkami. Z niektórych schodziliśmy, w końcu wypadło już zjeżdżać. Kolejna ścianka liczyła sobie więcej metrów i wyglądała na oko niezbyt jadalnie. Sięgnęliśmy więc z żalem do jedyne go haka, jaki nam pozostał, a Jaśiek godzinę szukał miejsca, gdzie by go wbić. Wreszcie jednak zaryzykował i spuścił mnie na sznurze w noc i czeluść. Potem zjechał do mnie i stanęliśmy pod tymi przewieszkami — ogoleni z haków i nieco już wyczerpani tą akcją bez perspektyw. Zauważyliśmy jednak znowu sporą łakę dla baranów, która schodziła nisko. Puściliśmy się po niej biegiem i już byliśmy w kosówce, a zaraz potem w schroniskowych łózkach, gdy nagle łaka się skończyła. Z cypelka Janek chciał jeszcze próbować dalej, ale coś go tknęło w ostatniej chwili, podniósł

z ziemi kamień i rzucił. Nawet go nie usłyszeliśmy, gdzie wylądował, tylko w powietrzu furczał przez ładną chwilę, więc daliśmy sobie spokój z tym schodzeniem i wrócili z powrotem pod przewieszki. Pokręciliśmy się jeszcze po półce, ale nic z tego już nie wynikło, siedliśmy w końcu tam, gdzie poprzednio staliśmy po zjeździe, i tak już zostało. Na mokro, na zimno i bez żarcia, bo wychodziło się tego lata w ściany z paroma kostkami cukru, żeby nie nosić bez potrzeby.

Więc siedzieliśmy teraz z podkurczonymi nogami na półce i pytał co mi się śniło. Mgły zbierały się naprzeciw na bałuchach i wyglądało na deszcz coraz bardziej, a tej ściany było jeszcze cholernie długo do zejścia, jak się powoli okazywało wraz ze świtem. Siedzieliśmy ścierpnięci i głodni i przypomnieli mi się Andrzej z Jurkiem na Rumanowym dwa lata wcześniej. Może z nimi też się tak właśnie zaczęło?

— To będziemy wołać — powiedziałam nagle ni w pięć ni w dziewięć.

— Nikogo nie będziemy wołać — Jasięk był zły. — Kto cię tu zresztą usłyszy przez ten piekielny potok.

— Ano fakt — zgodziłam się z nim.

— Trzeba by chyba wstać — powiedział po dłuższej chwili, więcej do siebie niż do mnie — ale bardzo mi się nie chce... O tej godzinie, kto to widział?

Przeciągnął się cały i ziewnął, później otrząpiał się jak pies, gdy wyjdzie z wody, warknął na mnie raz jeszcze, żebym stanęła na nogi i, nie spiesząc się, wyrzła poza kant.

— No, teraz przynajmniej coś widać. Pewnie się jakoś da... ale słuchaj! — odwrócił się i popatrzył na mnie — teraz nie będziemy się wygłupiać. Pamiętaj, żadnych poślizgnięć!...

W godzinę było już po wszystkim, a my rzuciliśmy się jak wściekli na borówki pod ścianą. Ale ta godzina! Przejdzie chyba do historii tatarnictwa. Najpierw oczywiście Jasięk. Szedł wolno, wolnuśienko, delikatnie, jakby się bał stracić nie kamień, lecz pyłek w tej ścianie. Lina wyciągała się powoli, centymetr po centymetrze, patrzyłam jak przesuwa się przez skalny ząb obok i wszystko, co mogłam zrobić, to tylko pilnować, żeby się z niego nie zsunęła. Dalej było jeszcze kilka podobnych zębów, przez które Janek prowadził sznur, w miarę jak posuwał się trawersem. Potem była trawa urywająca się spod nog i znowu sypkie przewieszki, i jeszcze błoto i trawki, odpychające, zwietrzałe ścianki i wreszcie, wreszcie... Kiedy szłam przez to wszystko a Jasięk asekurował mnie z ręki, kiedy myślałam o każdym bez wyjątku kroku, o każdym ruchu ciała, przyszło mi nagle do głowy, że to, co robimy, jest nielada dowcipem w drugiej połowie dwudziestego wieku, kiedy to zabiera się w ściany nierządki i kilkadziesiąt haków. I pomyślałam sobie już później, że bez Janka byłoby tu bar-

dzo, bardzo niefajnie, bo ktoś inny może nie odważyłby się na to, co on, a jeśli nawet — to z pewnością w połowie trawersu zabrakłoby mu cierpliwości na to zaczepianie liny, przestałby tak cholernie uważać na wszystko, co robi, na każdy swój ruch, a wtedy...

Za chwilę lało już regularną rzeką. Zostawiliśmy borówkowe lany i na złamanie karku pognaliśmy przez krzaki w dół do ścieżki.

— I kto by pomyślał, — wysapał, gdy byliśmy na szosie — no, kto by pomyślał, że trzeba jednak wstawać rano...

✱

— Ej, zaczekajcie! — dobiegło nas z dołu.

Staliśmy wysoko na grzbiecie, a lodu i kamieni było znacznie więcej niż śniegu, który został w żlebie poniżej. Stało się niewygodnie, wbijając z całej siły raki w zmarzniętą trawę.

— No, zaczekajcie, — powiedział, kiedy był już blisko — gonię za wami od samej Roztoki.

— O, jest Janek — zdziwił się Adam, jakby go dopiero teraz zauważył.

— Jest, ale z tego wszystkiego zapomniałem raków i nie wiem co będzie.

— Nie szkodzi. Znajdą się w chacie. Zobaczysz, wszystko się zrobi — powiedział Staś i ruszył w górę.

— Gdzie wam się tak śpieszy, do cholery! Żle mi iść bez raków — powtórzył Janek.

— Gdzie nam się śpieszy? Już koło piętej — jak znajdziesz później chatę po nocy. Trafisz?

— No, pewnie że trafię. Byłem tam dopiero co. Adam też był.

— A to klawo — powiedział Staś — będziesz szukać, bo jej nigdy nie można znaleźć po ciemku.

Na szczyt wyleźliśmy w samą porę. Ostatki słońca wały się po grani. Już tylko minuty dzieliły nas od nocy. Z dołu podchodziła mgła.

— No, to szukaj, Jasiu, chaty — powiedział Staszek w jakiś czas potem, kiedy było już ciemno i schodziliśmy na drugą stronę.

— Zaraz, zaraz — mruknął — nic się nie martwicie; byłem tam dopiero co — i skreślił pomiędzy skały prosto w dół.

Ruszyliśmy za nim. Żleb stromiał coraz bardziej i niezbyt się nam to widziało, ale kładliśmy na rachunek mgły, która płata różne niespodzianki. Śnieg był głęboki i Jankowi dobrze się tu szło bez raków. Nam jednak nabięło kule i robiło się coraz trudniej na tym zejściu, kiedy w pewnej chwili krzyknął coś przestraszonym głosem. Stanęliśmy jak zamurowani, bo właśnie wiatr odwiał mgłę na bok i w oknie zobaczyliśmy najpierw poderwane urwisko, a nisko w dole staw.

— No, — wysapał Adam — aleś nas wprowadził...



Na co dzień w górach Długosz znany był wszystkim pod przezwiskiem „Palant”. Do imienia i nazwiska wrócił dopiero po śmierci...

Fot. Zdzisław Matek

Szliśmy potem dalej tym szerokim zboczem od szczytu. Znow było twardo od szreni i tylko same zęby wchodziły w lód. Janek uciekł naprzód i nie było go widać. W gęstej mgłę poruszaliśmy się tylko na wycucie. Po jakimś czasie zawołał:

— Chodźcie! Jest chata!

Siedzieliśmy w niej już blisko tydzień. Na polu śnieżyca, wiatr i dwadzieścia siedem minus. Od czterech dni. Rankami wychodził, jak się dało, na małe spacerki, a wieczór grało się w karty, gadało o byle czym i gotowało pustosząc przyniesione zapasy.

Ktoregoś wieczora powiedzieliśmy do Janka:

— Postaw kabale, Jasiek. Ty umiesz.

Wzbraniał się długo, wreszcie rzekł z wyraźną niechęcią:

— Właściwie to nie lubię tego robić. Ale niech już wam będzie...

I wtedy zdarzyło się to, w co nikt nie chciał uwierzyć, kiedy się później opowiadało. O tym jak Janek stawiał te karty każdemu z nas po kolei i robił się coraz bardziej błądy ze zdenerwowania, bo wszystkim wychodził układ na śmierć. Śmierć była obok Staszka, ocierała się o Marynę, błędziła wokół Adama, straszyla mnie. As, dziewiątka i dama trefli powtarzały się regularnie za każdym razem.

— Do tego jeszcze jakieś urzędowe osoby. Każdy ma tę cholerną śmierć obok i urzędowe osoby. Cóż to ma znaczyć, u diabła! — zdenerwował się. — Nie, sobie już nie postawię. Szlag by mnie chyba trafił, gdyby za

piątym razem... Dość tej głupiej zabawy! Mówiłem, że nie lubię stawiać kabale. Już nigdy więcej nie dam się na to nabrać.

— Pewnie będę mieć awanturę od profesora, bo się spóźnię o cały tydzień — próbowała żartować Maryna.

— Albo nas zamkną do więzienia i taka będzie draka — powiedział Staś.

— Żebyśmy tylko nie spruli gdzie z lawiną, jak będziemy wracać — odezwał się z kąta Adam.

— Na tych cholernych Rysach! — dorzucił Staś.

— Nie strasz! — powiedział Jasiek. — Przestań, do diabła! Wcale mi się nie chce śmiać z waszych dowcipów. Wcale mi się nie chce śmiać...

Następnego dnia spadliśmy z lawiną. Złamana ręka, złamana noga.

Dwa dni później zamknęli nas za nielegalne przekroczenie granicy.

★

— Skończyłem książkę, wiesz — powiedział do mnie.

Siedzieliśmy w Jaszczurach i z szafy dał się Burano.

— Będzie i o lawinie, i o filarze, i o wszystkim po trochu. Chyba mi to już przyjmą bez większych zmian. Powiedzieli w „Iskrach”, że...

...„Luczijaaa!” — wydierał się Michał z szafy...

— Wiesz, — powiedział znowu — właści-

wie to mi się już nie chce z tym wspinaniem, może się znudzić tak wciąż i wciąż. Po Freney'u powiedziałem sobie: dość, kiedyś wreszcie skończy się źle ta cała zabawa. Tyle lat... Zresztą ci młodzi dziś są już o wiele lepsi, niedługo oni się będą liczyć, a nie ja... Film bym sobie jakiś nakręcił, jak tę „Zamarię”, o której teraz myślimy ze Sprudinem — jeszcze kilka takich, albo bym co napisał. Zaczyna mnie to bawić o wiele więcej niż chodzenie.

— Nie szkoda ci gór? — spytałam. — Tyle lat...

— Właśnie dlatego. Pamiętasz co zawsze mówił Staś? Im częściej nadstawiasz głowy, tym większa szansa, że ją w końcu stracisz. Nie mam ochoty sprawdzać. Za długo już... Tobie się przecież także odechciało — dodał po chwili. — Wolisz teraz chłopców z Ja-

szczurów niż z Klubu. Co, nie jest tak? — spytał ze złośliwym uśmiechem.

— Może i jest, ale to moja sprawa. Zresztą nie porównuj mnie z sobą.

— Ale każdy ma kiedyś dosyć, prawda? A im więcej się nałaził, tym bardziej może mu się przejeść... Tak. Muszę jeszcze odwalić tych komandosów, sam nie wiem po co się w to ubrałem. A później może wyjadę poszukać tej księżniczki z zamkiem, choć właściwie na co mi zamek... No, przyjdiesz wieczorem? Będzie Siemion...

Przyszłam. Był Siemion, mówił wiersze. Byli też Andrzej i Zbyszek. Janek siedział z nimi i był już trochę zawiany. Coś tam do mnie mówił, machał rękami, jak to on. Zapraszał na wino, ale jakoś się nie przysiadłam, nie wiem czemu. To był ostatni raz. Nie widziałam go więcej.

Było dobrze...

Czesław Momatiuk

Chryście, jak świeciło słońce. Śnieg, granatowe niebo i to obłędne słońce, od którego falowało powietrze i góry. A my na samym szczycie Eigeru, żeglowaliśmy sobie ponad światem. Ba, nawet ponad słońcem, bo ono było wszędzie, tam nad nami, dookoła nas, a także pod stopami. Kłuło źrenice z każdej igielki śniegu. Więc mrużyliśmy oczy, nie patrząc na te wszystkie wspaniałości. Pal je licho... Wystarczająco dobrze było żeglować sobie...

Zawsze było dobrze. Kiedyś szukałem Janka — była cała akcja — poszedł z kurentem i nie wrócił na noc, więc szukałem następnego dnia, biegnąc oszalały po grani i wreszcie natrafiłem na nich siedzących w słońcu, ale opatulonych kłębkami mgły, tak że nie wiedzieli gdzie są, a byli na Zabiej Turni. Tam też było dobrze. Nawet lepiej niż na Eigerze. A może nawet najlepiej. Pamiętam, mówił coś, czego łapczywie słuchałem — nic nie rozumiejąc, bo sam krzychałem, śpiewałem, tańczyłem, leżąc nieruchomo na skale.

Na Kazalnicy byliśmy dwa razy. Oba razy robiliśmy sobie zdjęcia. W lecie, po przejściu „Lewej”, padał deszcz, ale my byliśmy szczęśliwi. Autentycznie szczęśliwi na tej kupie kamieni, którą się nazywa szczytem. I robiliśmy sobie zdjęcia, na których widać, że byliśmy zmęczeni, przemoczeni i obdarcici. Drugi raz w zimie. Byli jeszcze Andrzej Pietsch i Marian Własiński. Śmialiśmy się i walili po plecach. Z całej siły, żeby było czuć przez pachowe kurtki.

A pierwszy raz na szczycie razem? Chyba na Mnichu, po zrobieniu zwariowanej „południowej grani”. On zachwycony, że nie spadł, a ja, że wreszcie zlaźł ze mnie, bo przez godzinę tworzyliśmy żywą drabinę z jednym stopniem, którym była moja głowa. W kilka lat później próbowaliśmy „Wariantu R”, ale wtedy nie puściło. Jankowi narzmiła ręka, a Bozia poczęstowała nas na dodatek autentycznym oberwaniem chmury. Potem on skończył ścianę z Pietschem, już jesienią. Byłem o Picka zazdrosny, i długo mu to pamiętałem. W trzy lata później poszedłem na „era” z Adamem Wojnarowiczem. Wszystko było niby tak samo. Też szedłem nocą z Roztoki do Morskiego Oka, by być świtem w schronisku. Też podchodziliśmy powoli ścieżką, przystając i patrząc bez końca na płyty, tak jakby można było coś na nich dojrzeć... A potem podobnie lekko przeskoczyliśmy dolną łatwą część ściany. Z półek szło nam nawet sprawniej, no bo przeszliśmy drogę, i to bez nitów. Jedenaście godzin i już byliśmy na szczycie. Też musieliśmy być zadowoleni i uradowani, ale tego nie pamiętam.

Na Grand Capucin Janek nie chciał wejść na szczyt. Siadł dwa metry niżej i powiedział, że ma w nosie. Więc mu przypomniałem Dru, i to go ruszyło. Wlaź na tę rekiną płetwę, bo szczyt jest tam naprawdę szczytem, nawet nie ma gdzie porządnie usiąść, a jak się już cupnie, to nogi wiszą nad północną, albo nad południową ścianą. Janek stał cały czas, tylko ręce rozkładał,

jakby chciał ulecieć, ale on to robił, aby pewniej utrzymać się na skale. I pytał czy już, a ja jakoś nie potrafiłem nastawić ostrości, więc mu w końcu powiedziałem, że już. Zdjęcie faktycznie jest nieostre. I nawet nie widać, że to szczyt Grand Capucin... Tam też było słońce, ale takie, że dostawaliśmy kołowacizny. Najgorzej w ścianie, aż do momentu kiedy wyłowiliśmy z ocienionej szczeliny sopel lodu. Najprzyjemniej na szczycie, bo mogliśmy moczyc twarze w wodzie stojącej w zagłębieniach, przełknąć wreszcie nugaty, które przedtem wzięliśmy w ćwierć drogi między zębami, no i to, że nie musieliśmy już pięć się ani metra pod górę. Potem było jeszcze schronisko, do którego dotarliśmy następnego dnia. Refuge du Requin. „Chatar” serwujący gratis duńskie piwo z puszek, śliczna panienka przyglądająca się z uporem jankowym kalesonom, zastępującym wiecznie opadające kraciaste skarpety, i weramon, czy jakieś takie podobne świństwo, pozwalające znakomicie zapomnieć, że ma się zęby. Godzin się wtedy nie liczyło...

A jednak parę razy nie weszliśmy na szczyt, mimo że bardzo chcieliśmy tego. Raz wtedy na „Wariancie R”, a potem na Mont Blanc — gdy poszliśmy na Innominate, ale po nocy w bivacco na Col Eccles wystraszyliśmy się chmurki nad Włochami i zawróciliśmy w dół. W trzy godziny byliśmy w Courmayeur. Tam też nie liczyliśmy godzin, ani lirów przepuszczonych na muzykę z maszyn grających. I nawet byliśmy zadowoleni, że nie udało nam się wejść na szczyt, bo wtedy nie byłoby ani Cour-

mayeur, ani wina, ani płyt. Trzeba by było zejść wprost do Chamonix, do zupełnie innego wina i innych płyt.

Na Dru też nie byliśmy, choć tyle się o tym wejściu potem mówiło i pisało. Zdezerterowaliśmy tuż pod wierzchołkiem, bo siedzi wieczór, a w doliny było daleko. Uciekaliśmy zjazdami, jak strażacy na zawodach. A i tak złapała nas w ścianie noc i przytrzymała za nogi w szczelinie między dwoma blokami. I na nic się to niewchodzenie na wierzchołek nie przydało, pozostało tylko uczucie trochę sfuszerowanej roboty.

Również na Eiger nie weszliśmy przez ścianę. Nie puściło, choć tym razem robota była chyba dobra. Poszliśmy więc na szczyt przez zachodnią flankę. Najłatwiej jak tylko można. Lekko, coś w niecałe dwie godziny. I ciągle w tym słońcu, po mokrym lawiniastym śniegu pod szczytem, aż do miejsca, gdzie góra przechodziła w powietrze, a wysiłek zamieniał się w radość. Zejście ze szczytu było samą radością. Bieg, swobodny bieg, po śniegu i płytach, nawet stromych i może niebezpiecznych, ale nie dla nas w tym dniu. To był pokaz sprawności demonstrowany górze. Zbiegliśmy w czterdzieści minut.

Eiger był ostatnim szczytem, na którym stanęliśmy razem, a ten bieg był naszym ostatnim wspólnym biegiem.

★

Gdybym wiedział, że jest ostatnim, schodziłbym wolno, najwolniej, jak tylko można.



Lato 1961 — próba przejścia północnej ściany Eigeru. Na pierwszym planie Jan Długosz, w dół zespół S. Biel — J. Mostowski.

Fot. Czesław Momattuk

Komin Łapińskiego

w zimie

Zbigniew Jurkowski

„Nieżyj pomysł, przysięgam Bogu!” — powiedział tylko, kiedy zaproponowałem mu wyprawę na Galerię.

*

Wczesnym rankiem zbiegliśmy do doliny. Zbocze było strome i twarde. Leżliśmy po poziomicy, wykrecając sobie nogi w kostkach, a ja z wielką niechęcią myślałem o gumowych wiązaniach przy moich everestach.

— To by dopiero było — powiedziałem. — Raptem pęka taka parszywa gumka, i jedzie się na pysku, no nie? — Zerknałem wzdłuż stromo urywającego się stoku. Dno doliny było z dwieście metrów pod nami.

— By było... — mruknął Janek. Splunął pod nogi i dodał: — Po Tobie. Chyba, żebyś wyszedł z tego cało...

— Oczywiście — przytaknałem. — Szczególnie, gdybym się wrębał w tamte kamienie.

— Jezu, aleś się uparł! Przecież to nigdy nic nie wiadomo... — Janek zawiesił głos i przez chwilę szliśmy w milczeniu, lecz wiedziałem już, że obraca w myślach jakieś skojarzenie.

— Czy ja ci kiedyś opowiedziałem o tej Francuzce? — odezwał się wreszcie. — Tej, którą poznałem w pociągu wracając z Chamonix do Paryża?

Chrząknąłem przecząco. Nad nami zwieszała się już ściana Galerii, udrapowana w fałdy kominów i filarów, wkleśnięta poprzez całą szerokość niby kurtyna w czasie antraktu. Szperałem w urwisku wzrokiem, wielkie to urwisko, groźne, w gardle coś niby mdłości...

— Jeszcześ, bracie, takiej dziewczyny w życiu nie widział — mówił dalej. Szliśmy teraz prosto w górę, Janek przede mną, stopy na zewnątrz, objęła nas strefa cienia i powietrze od razu jakby stwardniało, więc opuściliśmy rękawy koszul i założyli anoraki. — Możesz mi wierzyć albo nie, ale na

I polskie wejście zimowe środkiem północno-wschodniej ściany Galerii Gankowej, kominem Łapińskiego i Paszuchy: Jan Długosz i Zbigniew Jurkowski, 27 IV 1961. Wejście w ścianę o godzinie 7. Część dolna aż do komina była całkowicie zalodzona, a wspinaczka w prawie pionowym, wodnym lodzie — przy problematycznej asekuracji — nastęrczała sporo trudności. Komin był partiami pokryty polewą lodową. W godzinach rannych załamała się pogoda. Wspinaczkę ukończono o godzinie 18, podczas zameści śnieżnej. Czas przejścia ściany — 11 godzin. Zejście przez Pustą Ławkę, już po ciemku.

Gare de Lyon wymieniliśmy numery telefonów...

— I następnego dnia — przerwałem mu — jeszcze przed pierwszym papierosem dorwałeś się do aparatu.

— Zgadłeś. Tylko, że numer był niewłaściwy...

— Pięknie — mruknąłem. Zostałem trzy kroki z tyłu i głośno dodałem: — Tak się załatwia naiwniaków.

Janek przystanął, podparł się dzierzonym oburącz czekanem i spoglądając na mnie nieco z góry odparł głosem, w którym zaznaczała się troska: — Ty chyba dziś zgłupiałeś ze strachu, co? Przecież to nie koniec. — Dyszał głośno, bośmy szli dość szybko, a potem, kiedy się już zastanowił, rzekł: — Dęty frajerze... Przecież z tym telefonem mogła się pomylić.

— Niby tak — odparłem na wszelki wypadek. — I co dalej?

— Dalej? No cóż, szukałem jej. Po całym Paryżu, od rana do wieczora.

Stromo już teraz było coraz bardziej, śnieg twardy jak diabli, do skał niedaleko, szliśmy więc obok siebie, co krok skubiąc ten złodowaciały śnieg ostrzami czekanów.

— Powiadam ci, to był amok — sapał dalej. Całymi dniami czatowałem przy Pont Neuf albo na schodach Sacre Coeur, przy Grands Boulevards poznałem chyba wszystkie kafejki...

O, Chryste, pomyślałem, ale mu zalazła za skórę! — Byłeś bez szans — wysapałem. — Paryż ma chyba z sześć milionów mieszkańców.

Podchodziliśmy, wspinając się już prawie, wzdłuż smugi wystających ze śniegu skał. Janek przez chwilę rozglądał się, potem nagle wszedł na skały i strawersował je do śniegu po drugiej stronie. — Chodź tutaj — powiedział głośno. — Tu nie jest tak twarde...

Wspiałem się zatem również na tę skalną pletwę, a kiedy byłem w połowie trawersu, znów dobiegł mnie jego głos: — Czy ty

wiesz, że byłem nawet w prefekturze policji? — Zaprzeczyłem ruchem głowy. Skałki były zalodzone, raki zgrzytały. — Najpierw mnie chcieli spławić, a potem, jak się zdenerwowałem, wręcz odwrotnie. O mało mnie, fliki cholerne, nie przytknęli.

— Musimy teraz wziąć się do góry — powiedziałem, kiedy zszedłem z powrotem na śnieg. — Wejście w drogę jest przy tamtej przewieszce. — Końcem czekana wskazałem kierunek.

*

Bańdzioch przewieszki z bliska wyglądał jak morda kryminalisty z rysunkowego dowcipu. Janek zdjął buty i nałożył cieniutkie trzewiki wspinaczkowe. Potem, ostrożnie, ruchami mopsa wygramolił się na przewieszkę, sapiąc przy tym i prychając, i zniknął mi z oczu poza krawędzią.

— Cholera! — usłyszałem jego głos. — O, cholera! Tu wszystko jest zaprane lodem. Bez raków ani rusz...

Milczałem.

Przez następne pół godziny przesunęło mi się przez ręce nie więcej niż pięć metrów liny. U góry słychać było z rzadka ciupanie młotka, sywały się bryłki zrabowanego lodu. Wreszcie nie wytrzymałem:

— Ty, może byś lepiej zszedł?

— Dobra, dobra... I znowu to denerwujące ciupanie.

Posłizniłem się — pomyślałem. — W końcu poślizniłem się w tych swoich trampkach i zleci mi na łeb.

Lecz po upływie godziny Janek tkwił już dość wysoko nade mną, ciupanie było coraz szybsze, a ja przestałem przejmować się tym, że wspina się bez raków. Wkrótce potem, kiedy założył stanowisko asekuracyjne i z kolei ja szedłem, a właściwie darłem do góry po linie, byle szybciej — z podziwem myślałem o drabince wykutych w pionowym lodzie stopni i chwytów i dziękowałem Bogu, że nie musiałem tu iść jako pierwszy.

*

Mozolnie zarabialiśmy metry wysokości i kiedy tak gramoliliśmy się tym kominem, ponurym i jakby zmarzniętym od chłodu, polukrowanym śniegiem i przystrojonym gdzieniegdzie lodowymi frędzlami, wśród zupełnej ciszy, którą z rzadka przerywały pokrzykiwania naszych kolegów wspinających się na prawo od nas, poza załomem ściany — mnie coraz wyraźniej stawał przed oczami obraz gładkiej płyty, do której się zbliżaliśmy, i przypominałem sobie, z jakim trudem sforsowaliśmy ją w czasie letniego przejścia. Z prostego obliczenia wynikało, iż mnie wypadnie prowadzić ten fragment drogi.

Przypuszczałem, że płyta w warunkach zimowych może stanowić nie tyle jaką przeszkodę, ale gdy wreszcie stanęliśmy pod nią, dusza we mnie zaskowyczała. Granit wszędzie pokryty był sinymi językami lodowej polewy i płyta była niedostępna.

— Możesz iść! — powiedział Janek, z wyraźną satysfakcją przypinając się pętlą do haka. — Asekuracja jest dobra...

Cóż było czynić? Poszedłem! Tyle, że nie płytą, ale dalej kominem. Wprost przez przewieszkę, jaka w nim pęczniała, a którą latem tak przeornie ominęliśmy. Czepiając się starych haków, z determinacją zawierając zetałym pętlom wiszącym na równie zbutwiałych kolkach, sapiąc i klnąc, kiedy nogi ześlizgiwały się niebezpiecznie z olodzonych stopieńków, szybko znalazłem się poza największymi trudnościami. Cieszyłem się z udanego przeboju, lecz nie wiedziałem jeszcze, że tego dnia każda zyskana minuta ma dla nas wartość mierzoną bynajmniej nie rekordem.

Wkrótce bowiem usypujące się ze ściany śnieżne pyłki zgęstniały nagle, jęły padać zrazu małymi, a potem coraz większymi płatkami, i kiedy spojrzeliśmy na niebo, ławice pierzastych obłoczków zwarte już były w jednolitą i jakby brudną powłokę.

Od północy, drugą warstwą, wlewały się w Tatry chmury ciemne i postrzępione, pełzły w górę dolin i wypiętrzając się coraz wyżej szybko zatapiały okoliczne turnie i pomniejsze szczyty.

Nadciągająca śnieżnica sprawiła, iż nasza wspinaczka-przygoda zwolna zaczęła się przemieniać we wspinaczkę, która była ucieczką. Wiedzieliśmy już, że jeśli wypadnie nam biwakować, nazajutrz możemy znaleźć się w ponurej sytuacji. Do końca dnia spaść może kilkadziesiąt centymetrów świeżego puchu, a wtedy spod wierzchołka Małego Ganku poczną urywać się lawiny i zagarniając śnieg z tarasu walić się będą poprzez urwisko, omiatając je całe rwącymi strumieniami. Uwięzieni w ścianie, schronimy się pod jakąś przewieszką, ale bierność — pamiętaliśmy o tym — często staje się przyczyną porażki.

I znowu — jak już nie raz w górach — rozpoczęliśmy wyścig z czasem, a także, tym razem, z ogarniającą wszystko wokół śnieżycą. Stawka była wysoka i jak zawsze, kiedy człowiek z trampa, podróżnika czy kolekcjonera wrażeń zamienia się w pioniera, który musi wygrać walkę narzuconą mu przez przyrodę, byliśmy spokojni i nie poddając się emocji dokładnie wyważaliśmy własne możliwości.

Mijały godziny, robiliśmy wszystko, co potrzeba było czynić, aby ukończyć drogę przed nastaniem nocy, i choć szansę mieliśmy nikłą, wygraliśmy ją przecie.

O zmroku, kiedy wśród zadymki osiągnęliśmy kraj ściany, na tarasie leżała już spora warstewka nowo spadłego śniegu, a zejściowe ślady naszych kolegów, którzy przed nami ukończyli swoją turę, były niemal zupełnie zasypane.

*

Do schroniska dotarliśmy głęboką nocą. Syty i napojony, leżąc w śpiworze, czułem się błogo.

— Ty, a jak skończyła się historia z tą dziewczyną? — przypomniałem sobie poranną rozmowę.

— Z tą Francuzką? — Powtórzył Janek. — Nigdy byś nie zgadł. Wyobraź sobie, że akurat, gdy opuszczałem mieszkanie w dniu

wyjazdu do kraju, zadzwonił telefon. To była ona.

— No, no... — zdziwiłem się konwencjonalnie. — Swoją drogą, był to cholerny fuks.

— Fuks?! — zaperzył się Janek. — Czwolwiek! Przecież szukałem ją dzień po dniu przez dwa tygodnie, czy nie? Wykorzystałem wszystkie możliwości. I jeszcze miałbym jej nie odnaleźć? Zresztą — dodał — gdyby nie zadzwoniła, na pewno spotkałbym ją w drodze na lotnisko... Jestem o tym przekonany.

O mamó! — jęknąłem w duchu. — I gadaj tu z takim. (Teraz tylko nie dyskutuj — zwróciłem się sam do siebie — bo usłyszysz, że jesteś pacan). — Dobranoc — powiedziałem i przewróciłem się na drugi bok. — Dobranoc.

Taki był Długosz

Tomasz Łubieński

Od pięciu lat brakuje w Tatrach Jana Długosza. W świadomości osób, które z nim się wspinały, śpiewały, bankietowały czy chodziły na jagody i maliny, ta pustka, którą otwarła jego niespodziewana śmierć, zaostza się i pogłębia. Natomiast dla nowego, odmłodzonego środowiska, które nie wydało jeszcze własnego lidera tej miary, staje się Długosz klasykiem i zgodnie ze skrótem historycznej perspektywy już zajmuje swoje miejsce w jednym szeregu ze Stanisławskim, Szczuką, żeby nie rzec — Stolarczykiem. Ten szokujący i zasłużony awans Długosza do panteonu uwidocznia się z każdym sezonem. Zresztą Długosz sam przecież łamał bariery psychiczne, rozjątrzał konkurencję, śrubował rekordowe kryteria. W myśl tych samych bezwzględnych praw sportowego postępu, dla kolejnej czołówki staje się autorem kilku standardowych dróg, na których można go zdeklasować i stylem, i czasem przejścia. Gdyby żył wydaje się, że przyjąłby ten proces ze zrozumieniem, może nawet z satysfakcją: wszak aktualne wyczynowe tendencje rozwinęły się w znacznej mierze dzięki jego osobistej inicjatywie czy inspiracji.

Rozliczne sukcesy sportowe Długosza nie tłumaczą jeszcze niezwykłej roli jaką odegrał w naszym środowisku na przestrzeni kilkunastu lat, z czego dziesięć dałoby się w jakimś sensie nazwać jego „okresem” czy

„epoką”. To on lansował zarazem literacki i rekordowy styl odczuwania gór. Styl atrakcyjny i arcytrudny, bo wymagający nerwów równie mocnych jak wrażliwych, wprawnego refleksu mięśni i sprawnej refleksji psychicznej. Ponadto Długosz rozwinął sposób ludzkiego bycia w górach, uwarunkowany z jednej strony wyścigowymi emocjami, z drugiej istnieniem zwartej, solidarnej sezonowej zbiorowości. Długosz, ten poważny strateg i ofiarny współrealizator skomplikowanych przedsięwzięć wspinańskich umiał, jak nikt inny, w dniach niepogody i odpoczynku prowadzić w schronisku śpiewy, dyskusje, wymyślać gry towarzyskie, dowcipy i spontaniczne wygłupy, powstrzymywane na dopuszczalnych granicach smaku. Ascetycznie odporny na wyczynowe trudy, strachy i niewyuczasy, z tym wyraźniejszym zapalem poddawał się schroniskowym urokom i sielankom. Cierpienia i przyjemności górskiego życia łączył w wyrafinowaną hedonistyczną zależność.

Długosz „rządził” nieoficjalnie, nie poparty żadnym upoważnieniem organizacyjnym, przeciwnie — jako programowy indywidualista chętnie skłócony z klubem i jego oficjalnymi mandatariuszami.

Niepisany autorytet Długosza wynikał nie tylko z jego silnej osobowości, sportowej kompetencji czy talentów towarzyskich.

Było w tym coś więcej. Długosz nie dbał o szacunek wobec własnego stażu, wystrzegał się pozycji tradycyjnego arbitra czy autorytetu. Przeciwnie: surowo przestrzegał reguł gry — był zawsze gotów, niezależnie od swojego dorobku w Tatrach, Alpach, na Kaukazie, mierzyć siły i umiejętności wspinaczkowe z przygodnym konkurentem na przygodnej skałce, czy bodaj na ścianie schroniska. Wrodzony duch walki nie opuszczał go nigdy: ani na wielkich drogach, ani podczas wielkanocnych śmigusów. Naturalna dyspozycja do rywalizacji, nieustająca potrzeba sprawdzania własnej wartości na bieżąco, były przyczyną nierzadkich jego porażek gimnastycznych, nieraz wobec debiutanta czy, co gorsza, starego antagonisty. Ale chociaż sapania, poty i kryzysy Długosza były przedmiotem skwapliwych żartów i daleko idących komentarzy, to przecież gwiazdy akrobatyczne wschodziły i zachodziły, a on pozostawał. Co więcej, wytrzymywał coraz szybszy postęp, a nawet wciąż był wśród tych, którzy dyktowali tempo. Umiał być przedmiotem peanów i krytyk, imponował, śmieszył i skupiał wokół siebie wysokogórskich „kosynierów” i kibiców: był wszechstronnie popularny.

Długosz, człowiek rozmiłowany w działaniu, bezinteresowny w przygodzie, miał konstrukcję psychiczną pokrewną szczęśliwym awanturnikom, upartym odkrywcom: gdyby urodził się kilkaset lat wcześniej byłby zapewne jednym z nich. Lecz ponad tę mocną bazę psychiczną, sprzyjającą najbardziej ryzykownym wyczynom, wykształcił sobie interesującą nadbudowę filozoficzną. Podczas wielu krytycznych sekund, godzin, dni, które zwycięsko przeżywał w górach, dane mu było nieraz odczuwać ciężar pytań ostatecznych: ale zamiast odpowiedzi musiał wówczas intensywniej szukać trzech punktów podparcia. Z owego niedosytu, z wewnętrznej potrzeby analizowania sytuacji eschatologicznych, zrodziła się jeszcze jedna ambicja Długosza — ambicja literacka. Niestety, Długosz nie zdążył wypracować własnego języka, nie zdołał opanować bogactwa wrażeń, wątpliwości, dorównać w piśmie swoim znakomitym narracjom, w których bezbłędnie potrafił zespolic patos i dystans, ironię i uniesienie. A jednak na tle bezkompleksowych i bezproblemowych w swojej masie wysokogórskich gawęd i wypracowań, „Komin Pokutników” jest niewątpliwie książką większego wymiaru, dalszej perspektywy. Prócz atrakcji sportowo-przygodowych znajdziemy tutaj odmienny ton czy motyw przewodni, czytelny głównie dla tych, co Długosza znali i rozumieli. Chodzi o zafascynowanie śmiercią, które na skutek formalnej niedojrzałości „Komin Pokutników” może się komuś wydawać ozdobni-

kiem czy pseudoliteracką pozą. A jednak śmierć w opowiadaniach Długosza jest motywowym konsekwentnym, wszechobecnym, wielopostaciowym. Przybiera młodopolską postać czarnego motyla, materializuje się w fatalnym młotku Nunberga, stroi się w egzotyczne operetkowe pióra kaukaskiej „Pticy”, albo dosłowna, zabójcza strąca lawiny i kamienie, zastawia pułapki orientacyjne, załamuje pogodę itp. To śmierć jest głównym, najwierniejszym i najciekawszym partnerem czy rywalem dla Długosza i jego towarzyszy. Żartuje się z niej, prowokuje i unika po mistrzowsku, oszukuje o centymetry, ułamki sekund. Ale nie wolno śmierci lekceważyć, i Długosz zdaje sobie jasno sprawę z jej wielkiej, nieuchronnej cierpkości. Tryumfuje, kolekcjonuje przewagi, ale nie przecenia swego wpływu na los i z fatalizmu, z determinacji czerpie niezbędną w tatarnictwie równowagę ducha. A także przyjmuje (tu pozwalam sobie na spekulację) światopogląd heroiczny, który zaleca działanie wbrew egzystencjalnemu bezsensowi istnienia, jako jedyną możliwość akceptacji świata.

Gwałtowna, zaskakująca śmierć Długosza stanowi mimowolny, finałowy komentarz do „Komin Pokutników”; trudno wyzwolić się spod wrażenia, że tragiczny wypadek zaistniał w klimacie bliskim jego poczynaniom literackim. Śmierć na Zadnim Kościelecu była również mocną pointą dla niebezpiecznej wysokogórskiej biografii Długosza. Ośmielę się twierdzić, że — jeśli w ogóle śmierci można przyznawać jakiś sens, gościć się na nią i zapominać o jej dosłowności — to Długosz dał przykład śmierci szczęśliwej, harmonijnej, logicznie dopełniającej jego koncepcję życia. Zginął w górach, które były i jego namiętnością, i powołaniem, zginął nie dopowiadając do końca tyłu swoich możliwości. Toteż zapewne od pięciu lat bawi w jakimś prywatnym rajku wspinaczkowym, gdzie haki śpiewają różnymi głosami, lawiny uspokajają się pod czarodziejskim dotknięciem czekana, jak wielkie białe zwierzęta, gdzie anielice roznoszą po biwakach pieniste jasne piwa.

Więc nie uzalajmy się nad przedwczesnym losem Długosza. Pamiętajmy o nim, starajmy się, aby wszedł pomiędzy tatrzańskie legendy, aby mógł w ten sposób pozostać w swoich domowych górach. Bądźmy mu wierni, jak powinniśmy być wiernymi wobec własnej, niepowtarzalnej, niepodrabianej młodości. On był charakterystyczną, ważną częścią tego naszego czasu przeszłego. Jesteśmy zatem jego dłużnikami. Pamiętajmy, wszyscy, cośmy się z Długoszem wspinali, bawili, klócili, chodzili na jagody i na maliny.



Pod Eigerem w r. 1961. Siedzą od lewej: Don Whillans, Chris Bonington, Czesław Momatiuk, Jan Długosz, Stanisław Biel i Jan Mostowski.

Fot. Czesław Momatiuk

Wspinacz doskonały

Widziałem w akcji wielu znakomitych wspinaczy. Na Petit Dru oglądałem Paragota, Lesueura i Bérardiniego oraz znakomitego genewczyka Marcela Brona. Na lodowcu Les Bossons obserwowałem Contamine'a, który demonstrował, jak można przejść na rakach to, co wydaje się możliwe do przejścia tylko z pomocą skrzydeł. Z Desmaisyem, Villardem i Julienem łąziłem po skałkach w Chamonix. Boningtona i Whillansa widziałem w akcji na Eigerze, świetnego Oniszczkę na Niżnich Rysach, a Rébuffata, Terraya i Vauchera — na filmach. Z Hiebelerem robiłem kilka dróg w Tatrach. Z Pietschem wspinałem się na Kazalnicy i Zamarłej Turni, z Zagajewskim na Żabiej Turni Mięgoszowickiej, a z Adamem Wojnarowiczem na „Wariancie R”. I to, co oni demonstrowali w skałe lub lodzie przyprawiało mnie o zawrót głowy.

A Janek Długosz? Raz widziałem go spadającego. Było to na wschodniej ścianie Mnicha. Hak, na którym wisiał — wyleciał, a on spadł może metr, a może półtora... Więcej razy mu się to w mojej obecności nie przytrafiło. Nie przypominam sobie nawet, aby kiedykolwiek zapowiadał, że poleci. Ostrzegał czasem tylko, że jest bardzo trudno, żebym uważał, nie gapił się bezmyślnie, nie zapalał papierosa, no i nie fotografował.

Tego ostatniego szczególnie nie lubił. Inna sprawa, że zawsze nadużywałem poczucia pewności, iż on nie sprawi mi przykrych niespodzianki i w decydującym momencie — kiedy właśnie przykładam aparat do oka — nie poszybuję ku piargom.

Zawsze stał pewnie na skałe. Boże, jak często zazdrościłem mu tej pewności, wbiegłszy szybko i lekkomyślnie na jakąś przewieszkę, by trząść następnie bezradnie łydkami. Potem wreszcie, nauczyłem się od niego tego spokojnego i rozważnego sposobu poruszania się — bez skoków, nagłych zrywów, nieobliczalnych „wejść tam, a potem zobaczmy”.

Czy ładnie się wspinał? No, nie był to balet, jaki uprawiał na skałe Andrzej Pietsch, ani swoboda z jaką przechodził szóstki Desmaisy. Każdy zdobyty przez Janka metr ściany był przemyślany, był opracowany technicznie. To co robił nigdy nie stanowiło improwizacji, jakiej z kolei był wielbicielem w czasie organizowania wypraw. Do każdej rysy, kominka, płyty, przewieszki, zabierał się systematycznie, planowo, ruchami wyćwiczonymi, pełen wewnętrznej spokoju, że dzieło zostanie ukończone i tylko zewnętrzny kataklizm może mu przeszkodzić w realizacji przedsięwzięcia. Robił to podobnie, jak doświadczono-

ny cieśla, który stawia dom — nie licząc na to, że stworzy dzieło na miarę Corbusiera, jednak wie, że budowla, którą wzniesie, będzie wykończona w najdrobniejszym szczególe i, co najważniejsze, w żadnym razie się nie zawali.

Więc szedł Janek w górę, krótkimi ruchami i tam wszędzie, gdzie tylko było można — z opuszczonymi rękoma. Do wspinania służyły nogi, ręce były przyłożone do ściany, nawet nie przytrzymujące się chwytów, ale przyłożone do nich, na rozluźnionych mięśniach, bez odrobiny zbędnego napięcia. Szedł przez ścianę na nogach. Powoli i systematycznie. Nie był maszyną do wspinania, jak Zagajewski, który nie rozróżniał szóstki od miejsca dość trudnego, przechodząc tak jedno jak i drugie w tym samym tempie, bez zatrzymań i bez przyspieszeń. Janek odwrotnie: stał, a potem z pomocą serii krótkich niespiesznych ruchów, które go pozornie nie windowały w górę, wznosił się o metr wyżej, by znowu „wystać” sobie odpowiednią porcję chwytów i stopni. I tak przez całą ścianę. Obojętne czy było jej sto metrów, czy tysięcy.

W tych wielkich ścianach potwierdzał znaną prawdę, że na szybkość zespołu tylko w niewielkim stopniu wpływa to, jak szybko przeбира się rękami i nogami, a decyduje o niej sprawność w operowaniu sprzętem, umiejętność momentalnego wyboru najlepszej drogi i najlepszego sposobu jej

przejścia. Nie było więc opóźniających tempo zapchań, wycofań, daremnych prób. Gdy o czymś powiedział „nie do przejścia”, nie warto było nawet próbować. Bo po co? Żeby stwierdzić to samo? Ale Janek niezmiernie rzadko mówił „nie do przejścia”, albo „nie puść”. Zawsze puszczało, obojętne czy była to skrajnie trudna przewieszka na Wicherkiewicz-Siedleckim na Zamarłej, którą przeszedł wprost, w taki sposób, w jaki nikt jej już nie powtórzył, czy też hakowe rysy na wschodniej ścianie Grand Capucin, które przez pomyłkę przechodził klasycznie, bo nie było haków i myślał, że należy iść bez pomocy ławeczek. I tu, i tam, i wszędzie indziej, szedł po prostu do góry, nie rzucając i nie przeklinając, w tym swoim nie nazbyt efektywnym, a jednak doprowadzonym do perfekcji stylu. Styl ten nie służył olśnieniu przyglądających się partnerów, był natomiast podporządkowany celowi, a celem było zwycięstwo nad ścianą. Ten styl nie wywoływał okrzyków zachwytu ze strony patrzących, natomiast ściany jakie Janek przeszedł wciąż jeszcze należą do najtrudniejszych.

Dziś, kiedy prawie wszystkie rekordy alpinistyczne Janka doczekały się powtórzeń, a ci, którzy towarzyszyli mu na wspinaczkach sami już po trosze zapominają, do czego służy lina, godzi się przypomnieć, że on swego czasu był wspinaczem doskonałym.

Czesław Momatiuk

Za późno...

To tylko błysk,
To tylko szmer,
To tylko ćwierć sekundy!
A już krzyk,
I haka dźwięk,
Koniec ostatniej rundy.
Myśl? na nic.
Myśl? po co?
Za późno.
Szkoda że
Promień zgasł.
A potem już ciemność...
Może blask...
Czy tak?

Jan Długosz (1952)

Jan Długosz jako aktor w filmie „Na śnieżnej grani”. Z prawej – Jerzy Piliński. (Fotos).



Kilka uwag o pisarstwie Jana Długosza

Jacek Kolbuszewski

„Cały kłopot z fikcją literacką — pisał Aldous Huxley — polega na tym, że jest w niej zbyt wiele sensu. Życie nigdy nie ma sensu”. Ale bo też literatura polega nie na notowaniu faktów zaobserwowanych z życia, lecz na takim ich ustawieniu i uporządkowaniu, aby utwór literacki stał się wyrazicielem określonej koncepcji przyjętej przez autora. Stąd ów nadmiar sensu. Stąd w dziele literackim, rzecz nieco upraszczając, współgrystują dwie warstwy: estetyczna i ideologiczna. Co więcej — nie tylko współgrystują, ale i wzajemnie się determinują, co oznacza, że pewne postawy ideowe mogą być wyrażone tylko poprzez zastosowanie ściśle wyznaczonych form literackich. Można to zjawisko zilustrować dobitnie przykładami zaczerpniętymi z dzieł literatury górskiej: wszak celowy „brak kompozycji” w „Na przełęcz” Witkiewicza jest bezpośrednią konsekwencją tego, że opiewana przez autora powieści wycieczka była „wycieczką bez programu”, cechował ją zatem również zamierzony „brak kompozycji”. Ów sens stał się zatem determinantem formy literackiej — a to samo można powiedzieć o tak zwanej „bujdałce”...

I właśnie kłopoty z sensem zaczęły się w naszej literaturze górskiej od momentu wykształcenia się owej „bujdałki”. Autorzy sprawozdań z najróżniejszych wycieczek, zapominając o tym, co do zawdzięczenia mają Janowi Jakubowi Rousseau, sprowadzili

literaturę wysokogórską do roli zgoła swojej: protokołu, w którym zanotowane zostały imiona wspinaczy i nazwy szczytów, w którym zginęło jednak to, co najcenniejsze, a co w skrócie określić można słowami: człowiek i góry. I jeżeli literatura alpinistyczna grzęznąć poczęła w stereotypach, to parafrazując przytoczone wyżej słowa pisarza powiedzieć można: kłopot ze współczesną literaturą alpinistyczną w Polsce polegał na tym, że było w niej zbyt mało sensu. Nie idzie bynajmniej o sens alpinizmu. Idzie o sens literatury. Pisarstwo Jana Długosza pojawiło się w tym momencie, gdy ów sens literatury wysokogórskiej był u nas do tego stopnia zagrożony, że niektórzy krytycy skłonni byli kwestionować nawet fakt istnienia takiej literatury, i sugerowali używanie terminu „piśmienictwo górskie”. Szło bowiem o to, że młode pokolenie taterników nie zdołało dorównać piórem przedstawicielom pokolenia poprzedniego; szło o to, że powieliło ono stare wzorce literackie, nie odczuwając ich anachroniczności. I wtedy pisać począł Jan Długosz.

By rzecz prawdę, twórczość literacka Długosza jest niewielka. Składa się na nią kilkanaście opowiadań, z których najlepsze przedstawione zostały czytelnikowi w pośmiertnie już wydanym zbiorze „Komin Pokutników”, zbiorze który stanowił wydanie i w sensie literackim i nawet w sen-

sie alpinistycznym, na co trafnie wskazał jako pierwszy Jan Alfred Szczepański w słowie wstępnym do tej książki. I jeszcze jedna uwaga: Długosz wkroczył do literatury jako niewątpliwy nowator, choć nigdy eksperymentatorem literackim nie był. Stanowił jednak jedno z najbardziej oryginalnych zjawisk w naszej literaturze górskiej XX wieku, a dokonał — może nieświadomie nawet — tego, że „bujdałka” utraciła rację bytu. Jest przy tym rzeczą zrozumiałą, że twórczość Długosza stała się cennym dokumentem górskiej ideologii, i to nie tylko jego własnej, ale całego pokolenia! W tej mierze opowiadania Długosza mają wartość bezspornie dużą i słusznie czynił raz już wspomniany tu J. A. Szczepański, zestawiając obok siebie nazwiska Długosza i Mieczysława Karłowicza.

Warto na tę sprawę zwrócić bacniejszą uwagę. Idzie bowiem także o to, że alpinistyczna działalność Długosza, będąc zarazem czynnikiem inspirującym jego piarstwo, a w znacznej mierze poprzez to piarstwo spełniła znaczną rolę społeczną, ucząc prawdziwego zrozumienia sensu alpinizmu i uprzytamniając fakt przynależności polskiego alpinizmu do czołówki europejskiej. Nie jest to sąd gołosłowny. Długosz-alpinista-literat współpracował nie tylko z czasopismami góorskimi („Wierchy”) i turystycznymi („Turysta”, „Światowid”), ale i społeczno-kulturalnymi, a wreszcie z pismami o niezwykle zróżnicowanych pro-

filach, jak z jednej strony „Polityka”, z drugiej „Kulisy” czy „Przekrój”. Sądę, że w równej mierze działał autorytet wybitnego alpinisty, jak i uzdolnionego pisarza. Pisarza, którego sytuacja była o tyle trudna, że w okresie powojennym przedstawione wyżej przyczyny sprawiły, iż literatura górską uznawana była za podrzędną odmianę „oficjalnej” literatury, a sytuacji tej nie był w stanie zmienić nawet pisarski autorytet J. A. Szczepańskiego. Fakt to o tyle znamienity, że Długosz unikał wszelkiej deklaracyjności ideologicznej, a jeżeli już w ogóle sobie na nią pozwalał, to zabarwiając ją odzieniem kpiarskiego humoru („Wielki Mnich”). Odnoszę jednak wrażenie, że Długosz przeciwstawiał się zbyt daleko idącemu ideologizowaniu. Wszak w uroczej „Piosence Brassensa” potrafił z subtelną ironią negatywnie wyrazić się o prymitywnym łączeniu „smaku alpinizmu” z filozofią egzystencjalną. I jeżeli nawet był kontynuatorem tej linii rozumienia alpinizmu, jaka wywodzi się bezpośrednio z tradycji Jana Jakuba, jeśli widział w alpinizmie pewną ucieczkę od życia — to zarazem pojmował alpinizm jako „powrót do życia” w tym znaczeniu, że alpinizm dawał mu możliwość dostrzeżenia i zrozumienia „znaków życia”, by użyć narzucającego się wręcz określenia. Istnieją bowiem wyraźne analogie pomiędzy „Szkieletem” Marii Dąbrowskiej (ze zbioru „Znaki życia”) a — powiedzmy — „Wielkim Mni-chem” Długosza. I chyba nie jest to wynikiem ślepego trafu! Zbieżność owa ma źródło w przyjęciu przez Długosza postawy humanistycznej, w całym tego słowa znaczeniu. Bo choć Długosz pisał o swoich własnych sprawach, sam jednak mówił kiedyś o tym, że jedną z najbardziej fascynujących wartości alpinizmu jest dawanie możliwości poznania człowieka takim, jakim jest w rzeczywistości, odarty z maski przybranych pozorów. A przecie tę samą dążność do zgłębienia człowieka, choć w innym zupełnie kształcie literackim, odnajdujemy u Dąbrowskiej.

Oczywiście, zważyć trzeba i to, że Długosz o wiele bardziej niż Dąbrowska był zafascynowany Hemingwayem (por. pierwodruk „Kto woła pomocy” w „Wierchach!”). W sferze ewentualnych wpływów literackich pozostało przecie to, co wyraża gloryfikację wartości człowieka, nie zaś to, co świadczy o jego brutalności i brutalności życia. I jeżeli autor „Kto woła pomocy” kilkakrotnie, w pisanych i niepisanych wypowiedziach, używał słowa „brutalność” we

Bezingi 1959. Jan Długosz w drodze na bezimienne turnie („Pik Warszawa”)

Fot. Jan Surdel

wspólnym kontekście z wyrazami „alpinizm” i „życie”, to jednak w ostatecznym rozrachunku eksponował te fakty, które świadczą o fizycznym załamaniu człowieka, wykazywały jego wartości moralne.

Długosz odrzucił deklaratywność. Był zarazem pisarzem, który opanował trudną umiejętność sprawnego obrazowania, był pisarzem kreślącym człowieka w sposób beznamiętny i rzeczowy, bezstronny, upatrującym raczej znamion zewnętrznych konkretnych stanów psychicznych — niż hipotetycznych charakterystyk wewnętrznych, a ten sposób kreowania literackiej rzeczywistości zbliża go w znacznej mierze do tendencji behawiorystycznych, a w konsekwencji raz jeszcze każe powtórzyć nazwisko Ernesta Hemingwaya, który dla Długosza (wstrzymując się przed sądem zbyt kategorycznym) mógł być nauczycielem i mistrzem literatury. Takie akcentowanie współczesności pisarstwa Długosza wydać się może dziwne, mniemam jednak, że jest niezbędne. Przede wszystkim z tego względu, że Długosz był jako pisarz górski ściśle powiązany z tradycją literatury epoki poprzednich. Idzie mi tu w pierwszym rzędzie o niezmiernie często dyskutowany tak zwany „fatalizm” Długosza.

Spotkałem się bowiem przed trzema laty z zarzutem zbytznego przeceniania literackiej funkcji owego „fatalizmu” (por. moja recenzja z „Komina Pokutników”, „Taternik” 1-2/1964), przy jednoczesnym niedocenianiu specyfiki stylu życia alpinistów z kręgu (jeśli tak wolno powiedzieć) Długosza. Szło zatem o to, że wszystkie te „ptice” były niejako „żywe” w tym kręgu i to do tego stopnia, że możnaby jeszcze dziś ustalić kiedy i w jakiej okoliczności powstało dane „fatum”... Jest w tym niewątpliwie sporo prawdy. Ale — i tu koło problemu „sensu w literaturze” zaczyna się już zamykać — przecież koterie i kręgi się rozpadają, podczas gdy „scripta manent”. Trwałość owego fatalizmu jest już zjawiskiem czysto literackim, zaś poza przybraną przez jednostkę w życiu jest zawsze w jakiejś mierze zjawiskiem postliterackim. Fakt to stwierdzony, że owego fatalizmu nie wymyśliło pokolenie i środowisko Długosza. Prosperował on już w literaturze romantycznej, udoskonaliła go Młoda Polska, celował w nim wreszcie Rafał Malczewski. Do czasów Długosza był to jednak jedynie swoisty ozdobnik, mający dodać utworowi literackiemu pewnego „dreszczyka”, pewnej „pikanterii”, tego posmaczku balansowania na granicy między tym a tamtym światem... Długosz włączając się w nurt tradycji — tradycji tej jednocześnie się przeciwstawiał. Widomie mając na uwadze formalne rygory gatunkowe opowiadania i noweli —

owe motywy fatalistyczne uczynił czynnikami konstruktywnymi („Czarny motyl”), podniósł je do rangi tych czynników, wokół których osnuta jest cała fabuła, a zatem nadał im pełną formalną funkcjonalność.

Sprawa wbrew pozorom bynajmniej nie jest błaha. Owe bowiem „kłopoty” z fikcją literacką stokrotnie rosną wtedy, gdy fabuła utworu oparta jest na szkieletcie wydarzeń rzeczywistych. Pisarz staje wówczas wobec konieczności takiego uporządkowania faktów, by nabrały one pożądanego przezeń sensu. Bo literatura musi mieć sens. Życie może go nie mieć — ale literatura musi. Tradycyjnym ramom schematu relacji (od wyjścia ze schroniska, poprzez przewiezki aż do szczytu), przeciwstawić umiał Długosz kompozycję ramową, podporządkowaną z góry dobranym motywom i intencjom. I dlatego ów „fatalizm” Długosza w niczym nie przeszkadza realistycznemu charakterowi jego pisarstwa. Jedną bowiem z najciekawszych rzeczy w pisarstwie jego była umiejętność płynnego operowania ciągami przyczynowo-skutkowymi. To zaś także jest miarą sprawności pisarza.

Przy takim jednak postawieniu sprawy nie da się uniknąć pytania o zasadniczym ciężarze gatunkowym, mianowicie pytania o miejsce Długosza w polskiej literaturze górskiej wieku XX, a może i szerzej nawet sformułowanego: o miejsce Długosza w polskiej literaturze współczesnej. Niełatwo jednak na pytanie to odpowiedzieć. Na zawadzie stoi przede wszystkim nadmieniona wyżej szczupłość pisarstwa Długosza. Bo kilkanaście opowiadań, to jednak mało. Możemy mieć przeświadczenie, że Długosz mógł napisać z czasem rzeczy lepsze i piękniejsze, ale we wszelkim wartościowaniu liczą się tylko fakty. Pozostaje jednak faktem bezsprzecznym, że Długosz wniósł do naszej literatury alpinistycznej bardzo wiele. Przede wszystkim w dziedzinie formy i języka. Uprzytomnił mianowicie, że nowoczesny alpinizm jako przedmiot literacki wymaga w pełni wykształconych i dojrzałych form, dających pełne możliwości wypowiedzi, i na tej zasadzie odrzucił „bujdakę”, uprawiał zaś opowiadanie i trudną prawdziwie nowelę. W ten zaś sposób położył kres literackiej amatorszczyźnie, a uprzytomnił, że nie wystarczy umieć się wspinać jeśli chce się o górach pisać! Podkreślić też trzeba walory języka, jakim pisał Długosz, najważniejszą jednak zasługę autora „Komina Pokutników” widzę w tym, że przywrócił on sens pisania o górach — i nie jest to bynajmniej truizem. Idzie bowiem o to, że Długosz przybliżył poważnie tak zwaną literaturę górską do „literatury oficjalnej” (a w ten sposób powiedzieć moż-

na jeszcze tylko o J. A. Szczepańskim, jako o przedstawicielu generacji alpinistów dwudziestolecia międzywojennego i — być może — o A. Skoczylasie, który jednak jako literat ujawnił się w pełni „po Długoszu”).

Długosz nie napisał zbyt dużo. Ale to, co napisał, zdobi naszą literaturę i jest dowodnym świadectwem pełni człowieczeństwa, które nigdy nie chce być przeciętnością. Myślę, że znacząco to bardzo wiele...

Publikacje Jana Długosza

Zestawienie ma układ chronologiczny i opiera się w głównej mierze na wycinkach gromadzonych przez autora. Ponieważ zbierał on je w sposób mało systematyczny, możliwe są przeoczenia i braki.

Filar Swinicy zdobyty po raz pierwszy. Maj 1949 — zob. przedruk s. 115.
„Eiger” nad Czarnym Stawem. „Oscypek” 16/1955, s. 11–16.
Lawina. „Oscypek” 18/1956, s. 24–29.
Tramwajem przez północną ścianę. „Oscypek” 18/1956, s. 32–35.
Cubryna — pierwsze przejście zimowe pn.-wsch. filarem (drogą Vogla). „Oscypek” 18/1956, s. 36–37.
Miegoszowiecki Szczyt — pierwsze przejście zimowe pn.-wsch. filarem. „Oscypek” 18/1956, s. 37–38.
Operacja Kazalnica. „Wierchy” 1957, s. 154–162.
Letni sezon taternicki. „Wierchy” 1957, s. 254–255.
Polacy w grupie Mont Blanc. „Wierchy” 1957, s. 265–266.
Zdobycie Petit Dru w 3 dniach. „Głos Sportowca” 26 VIII 1957, s. 4.
W cieniu Mont Blanc. „Dziennik Polski” 30 VIII 1957, s. 3.
Na grani Mont Blanc. „Przekrój” 1 IX 1957, s. 6 i 23.
Chamonix — miasto czekana i liny. „Głos Sportowca” 2 IX 1957, s. 4.
Pierwsze niepowodzenia. „Dziennik Polski” 6 IX 1957, s. 4–5.
Wyprawa na Petit Dru. „Dziennik Polski” 8–9 IX 1957, s. 6.
Ostatni szlak Stanisława Grońskiego. „Dziennik Polski” 22–23 IX 1957, s. 5 i 7.
W urwisku zachodniej Dru. „Burza nad Alpami”, I wyd. 1958, s. 20–45, II wyd. 1959, s. 21–46.
Kto woła pomocy. „Wierchy” 1958, s. 130–149.
Zimowy sezon taternicki. „Wierchy” 1958, s. 234–236.
Letni sezon taternicki 1958 r. „Wierchy” 1958, s. 236–237.
Alpiniada w śnieżnym Pirynie. „Wierchy” 1958, s. 247–248.
Trzecia Polska Wyprawa Alpinistyczna na Kaukaz. „Wierchy” 1958, s. 253–258.
W zachodniej ścianie Dru. „Taternik” 1/1958, s. 10–14.
Dujawica na grani Kotyzki-Czał. „Dziennik Polski” 8 IV 1958, s. 4.
Wysługi z hakiem w zębach, czyli co kraj to obyczaj. „Głos Sportowca” 5 V 1958.
Tam byli nasi alpiniści. „Głos Sportowca” 1 IX 1958, s. 6.
B.H.P. na Kaukazie. „Głos Sportowca” 8 IX 1958, s. 6.

Słońce nad Ullu-Tau-Czana. „Zdarzenia” 14 IX 1958, s. 7 i 8.
Wyprawa na Kaukaz. „Zdarzenia” 21 IX 1958, s. 1 i 7; 28 IX 1958, s. 5; 5 X 1958, s. 5; 12 X 1958, s. 7.
Zimowy sezon taternicki. „Wierchy” 1959, s. 237–238.
Alpinizm polski w górach Kaukazu w 1959 r. s. 253–257.
Zdobywamy Pik Warszawa. „Zdarzenia” 16 VIII 1959, s. 5.
Polska wyprawa na Kaukaz. „Zdarzenia” 2 VIII 1959, s. 6.
Biwak. Biuletyn Koła Krakowskiego KW 2/1960, s. 4–6.
Coś się kończy. „Taternik” 2/1960, s. 12–15.
Dziwne rendez-vous. „Turysta” 15 VI 1960, s. 15.
Wspaniałe wyczyny polskich wspinaczy w Alpach. „Echo Krakowa” 21 IX 1960, s. 6.
Spód północnego Elgeru w świecznik filaru Frénay. „Życie Warszawy” 24–25 IX 1961, s. 4 i 7.
Biały Pająk nad Grindelwaldem. „Poznaj Świat” 9/1961, s. 32–36.
Pogrzeb piątej klasy. „Dziennik Polski” 1 IX 1961, s. 3 i 4.
Najtrudniejszy filar w Alpach zdobyty. „Echo Krakowa” 8 IX 1961, s. 2.
Pierwsi ludzie na filarze Frénay. „Przekrój” 15 X 1961, s. 9–11.
Z państwa bogini Szchary pod Grand Capucin. „Tygodnik Polski — La Semaine Polonaise” 15 X 1961, s. 9.
Sześć krzyżaków. „Dziennik Polski”, 26 X 1961, s. 3–4.
W Chamonix zostawiłem część siebie. „Tygodnik Polski — La Semaine Polonaise” 12 XI 1961, s. 5.
Lawina. „Kulisy” 17 XII 1961, s. 8–9.
Odwet na górze. „Dziennik Polski” 3 I 1962, s. 3 i 4.
Alpinizm w epoce Lunnika. „Polityka” 7 IV 1962, s. 6.
Plecak. „Światowid” 8 IV 1962.
Metalowe fatum. „Kulisy” 22 IV 1962, s. 6 i 10.
Bohaterowie są zmęczeni. „Dziennik Polski” 5 VII 1962, s. 3–4.
Czarny motyl. „Kulisy” 15 VII 1962, s. 3 i 9.
Przeklęte grzyby. „Przekrój” 22 VII 1962, s. 9–11.
Twarz Szchary. „Wierchy” 1963, s. 75–95.
Lawina. „Taterniczek” 2/1963, s. 7–12.
Piosenka. „Taterniczek” 2/1963, s. 12.
„Komin Pokutników”. Wyd. „Iskry” 1964, s. 301.
Ważniejsze recenzje: „Poznaj Świat” 7/1964; „Światowid” 19/1964; „Taternik” 1–2/1964; „Trybuna Ludu” 243/1965.

Opracowali: Janina i Jan Długoszowie

Nowe drogi w Tatrach

Raptawicka Turnia

I wejście środkiem pd.-wsch. ściany: Jan Kielkowski i Andrzej Skwirczyński, 7 VIII 1966. Trudności V, H3, 4N. Wspinaczka piękna, w dużej ekspozycji, 9 godz.

Wejście z wielkiego trawiastego zachodu przecinającego pd.-wsch. ścianę. Zachodem do charakterystycznej grotki, od niej w skos w prawo kilkanaście metrów, a następnie wprost ok. 25 m (H3, 4N). Od czwartego nita trawers 2 m w prawo na stopień (dobre stanowisko). Stąd przez małe przewieszki do początku biegnącego w prawo zacięcia, którym do jego końca (IV) na balkonik. Dalej gładką ścianką (częściowo H1) pod okapy. Pod nimi trawers w lewo na skalisto-trawiasty teren, którym w górę do trawiastego kociołka. Prawą stroną kociołka do komina i nim na grań pod wierzchołkiem Raptawickiej Turni.

J. Kielkowski

Kościelec

I wejście pn. połacią zach. ściany: Władysław Gąsiecki i Krzysztof Tomaszewski (Gliwice), 30 IV 1967. Droga częściowo skrajnie trudna, 2 godz.

Pn. połączyć zach. ściany Kościelca jest ograniczona z prawej strony zachodnim filarem, z lewej przecina ją wyraźna głęboka depresja. Prawym skrajem ściany wiedzie droga A. Byczkowskiego i J. Luniaka („Taternik” 3-4/1966 s. 107).

Wejście w ścianę kilkanaście metrów na lewo od ostrogi filara przez niewysokie ścianki na stromy upał (w zimie pole śnieżne), którym w górę, z odchyleniem w lewo, w kierunku wyraźnej płytowej załupy z szeroką szczeliną w dnie. Po trawiastych stopniach do wylotu wspomnianej załupy (pod koniec IV, nie wchodzić do niej!), skąd trawers 2 m w lewo (VI) do krótkiego zacięcia, biegnącego w lewo w górę. Zacięciem do końca (V) na trawiaste stopnie pod przewieszka. Przez przewieszkę wprost (V) i dalej w górę, pod koniec z odchyleniem w prawo, na prawy skraj rozległej

platformy. Stąd 2 m w prawo na trawiaste stopnie i w górę przez przewieszkę (V-) do niewyraźnej przetykanej trawkami rynny, którą wprost w górę, pod koniec przez przewieszkę (V+), na lewy skraj olbrzymiej półki. Półką tą parę metrów w prawo do wylotu załupy z odpęknietymi blokami, biegnącej w lewo w górę. Załupą do końca (IV) i na trawiasty gzyms, biegnący poziomo w lewo, aż do wspomnianej na początku depresji (ma ona tutaj postać płytowego zacięcia). Gzyms trawers w lewo (III-IV) do wylotu kominowatej rysy z zaklinowanymi blokami. (Parę metrów dalej w lewo znajduje się wspomniane zacięcie). Rysą tą w górę do końca. Dalej trawiastymi stopniami wprost w górę i tuż na lewo od przewieszonych ścianek, pod koniec przez przewieszkę (V-), na łatwy teren.

W. Gąsiecki

Szpiglasowy Wierch

I wejście depresją w lewej części pd.-wsch. ściany: Jan Kielkowski, Janusz Kurczab i Ryszard Szafirski, 12 II 1967. Droga w warunkach zimowych b. trudna. Czas I wejścia 2 godziny.

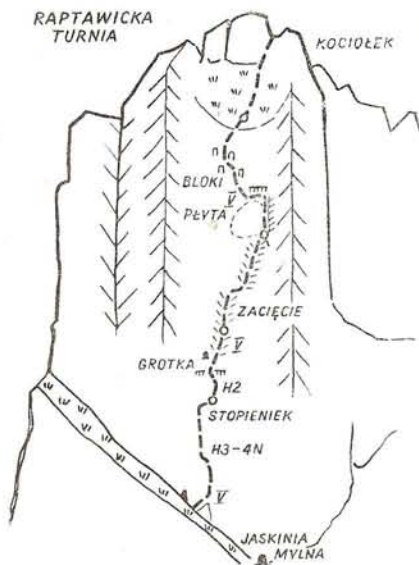
Początkowo w kierunku przełączki oddzielającej Szpiglasowy Wierch od Szpiglasowej Czuby, następnie w prawo na wielki trawiasty zachód (w zimie śnieg) wznoszący się w prawo. Zachodem ok. 60 m pod stromą depresję. Niał 40 m w górę (IV) na siodełko w grani, którą na wierzchołek.

J. Kurczab

Dziurawa Turnia

I wejście (zimowe?) środkiem pn.-wsch. ściany: Jerzy Potocki i Samuel Skierski, 15 IV 1965. Bardzo trudno, czas letni ok. 2 godz., w zimie 5 godz. Zob. też „Taternik” 3-4/1965 s. 115.

Trawiasto-skalista wsch. ściana Dziurawej Turni liczy łącznie z bułą ok. 200 m wysokości. Pod względem wspinaczkowym ciekawsza jest jedynie jej skalista prawa połać.



Wejście w ścianę z prawej części najniższej schodzącej ostrogi. Wprost do góry ok. 50 m, nie dochodząc do wylotu kominowatej rynny. Stąd w prawo na ścianę. Trawers 5 m i przez płytę do krótkiego zacięcia. Nim w górę kilka metrów pod niewysoką ściankę. Następnie 3 m w prawo po płycie na stopień (III-IV), gdzie ścianka jest niższa. Wprost do góry (IV) i ok. 20 m z odchyleniem w lewo do trawiastej rynny, która wyżej się spiętra i rozdwaja (II-III). Teraz skośnie w prawo trawersując płytowe żeberko do następnej rynny (III), skąd niespełna 100 m na szczyt.

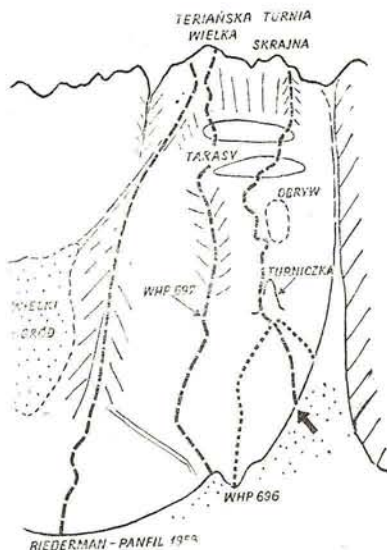
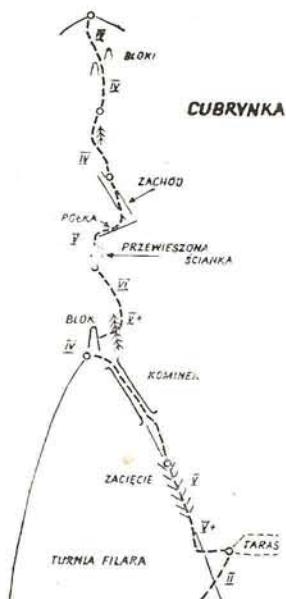
Nasza droga wydaje się mieć wybitne walory zimowe. Jej typowo zimowy charakter, wschodnia wystawa i względnie bezpieczne podejście sprawiają, że warto ją polecić szczególnie organizatorom kursów wspinaczkowych.

S. Skierski

Cubrynka

I przejście prawego filara pn.-zach. ściany: Kazimierz Liszka, Jacek Poreba i Andrzej Skłodowski, 24 VI 1967. Trudności VI, duża ekspozycja, skała miejscami krucha, 3 godz.

Droga wiedzie na prawo od drogi J. Surdeła i towarzyszy



opisanej w „Taterniku” 1/1967 s. 30 – wyraźnym filarem skalnym, w dole obrywającym się trójkątną turnią. Szczegóły na szkicu. Czas I przejścia 4 1/2 godz.

A. Skłodowski

Wielka Teriańska Turnia

I wejście prawą częścią pn. ściany: Eugeniusz Chrobak, Andrzej Heinrich, Janusz Kurczab i Ryszard Zawadzki, 20–21 VI 1967. Droga nadzwyczaj trudna (V+), częściowo z pomocą haków), eksponowana i efekowna – w murze Hrubego Wierchu najtrudniejsza. 8–10 godz.

Początkowo ok. 150 m żlebem prowadzącym na Teriańską Przełęcz Niżnią (WHP 703). Nie dochodząc do linii spadku wielkiego białego obrywu, wchodzimy we właściwą ścianę. Trawiasto-skalistym terenem ok. 100 m w górę w kierunku ciemnej odspienionej turniczki. Na lewo od niej znajduje się duże zbieżenie, z którego w górę prowadzi 2 zacięcia. Prawym z nich 10 m na wierzchołek turniczki (V). W prawo na żeberko i tuż za nim w górę kilka metrów gładką wąską

plytą (V). Dalej w górę łatwiejszym już terenem na pochylą płytową platformę pod zacięciem, którym pod przewieszki (V). Pierwszą z nich omijamy z prawej (V, hak jako stopień), spod drugiej trawers w prawo (V+) na żeberko. Dalej trawers 4 m skośnie w prawo przez 2 żeberka (V, z pomocą 2 haków). W górę 3 m na skalisto-trawiastą półkę, którą osiągamy tuż na lewo od wspomnianego białego obrywu.

Półką trawers 10 m w lewo, w górę 3 m ścianką (V+, z pomocą 3 haków) na platformę z blokami. Następną ścianką na lewo od platformy 3 m w górę na żeberko i nim 15 m w górę (V) na następną płytową platformę. Z niej w górę z odchyleniem w lewo 40 m (3 miejsca V, jedno z pomocą haka) do depresji, którą w górę 20 m. Od miejsca, gdzie się przewiesza, skośnie w prawo 30 m (miejscami IV) na łatwiejszy teren wyprowadzający na ogromny płytowy taras. Tarasem skośnie w prawo i przez próg skalny na następny taras pod spiętrzoną się ścianą szczytową. Teraz w prawo na żebro stanowiące jej ograniczenie i nim w górę ok. 100 m na grań, osiągając ją 15 m poniżej wierzchołka Skrajnej Teriańskiej Turni. (Istnieje możliwość poprowadzenia wariantu wprost na wierzchołek, środkiem ściany szczytowej. Załamanie się pogody zmusiło nas do wybrania łatwiejszego wariantu.)

J. Kurczab

Pn.-wsch. ściana Gankowej Strażnicy. Z prawej droga A. Skłodowskiego i tow. („Taternik” 3–4/1965 s. 29), od lewej (strzałka) – droga Rewajów i tow. (opis obok).

Fot. Tadeusz Rewaj

Gankowa Strażnica

I wejście lewą częścią wsch. ściany: Krystyna Krupińska, Tadeusz Piotrowski, Maria Rewaj i Tadeusz Rewaj, 14 VIII 1966. Trudności V, krucho, dużo traw, 4 godz. Czas I przejścia 6 godz. Ogólny opis WHP t. X s. 87, zob. też „Taternik” 3–4/1965 s. 119.

Wschodnia ściana oglądana ze ścieżki do Doliny Kaczej kulminuje w trzech turniach, z których środkowa stanowi wierzchołek Gankowej Strażnicy. Droga wiedzie na lewą z nich, wyróżniającą się czysto skalnym zwieńczeniem. Ukośnie w prawo przecina ścianę żleb wyprowadzający na siodełko między środkową a prawą turnią.

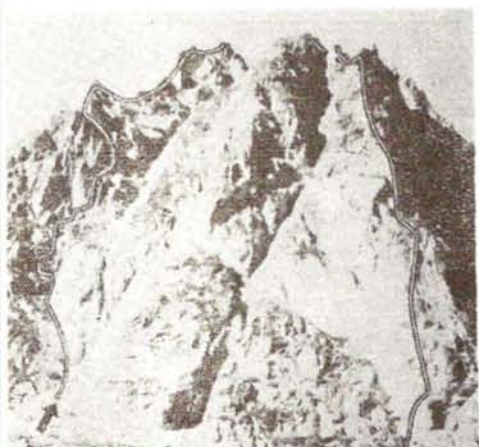
Wejście w ścianę u początku owego żlebu, pionowo w górę kruchym kominem do trawiasto-skalnej depresji i nią pod pierwsze spiętrzenie skalne (3 wyciągi III). Teraz systemem trawiastych półek najpierw w lewo, potem w prawo i znów nieco w lewo pod kruchy przewieszony komin. Nim w górę (V) i łatwiejszym terenem pod następny skalny uskoku, który przecina 3 wyraźne kominowate zacięcia. Trawers w prawo poza krawędź skalną pod ukryte za nią pęknięcie w pionowym uskoku. Nim w górę (V) na trawiastą półkę i kominem w górę (V) na wygodne stanowisko. Stąd skośnie w prawo po płycie na trawiasty zachód, z którego systemem półek w prawo, a po omignięciu odgałęzienia uskoku – w lewo na wygodną skalistą płaszczyznę pod spiętrzeniem lewej turni. Z płaszczyzny lewą ścianką i wyraźnym pęknięciem na stanowisko za blokami, skąd w prawo i w górę kominem skalnym (IV–V) na siodełko w lewym ograniczeniu ściany. Od tego miejsca 40 m w lewo zachodem z kosówką, biegnącym poziomo pod spiętrzeniem szczytowym do kominu. Nim w górę i nie dochodząc do bardzo wyraźnej niży, ukośnie w prawo w górę na turnię. Stąd łatwo na główny wierzchołek Gankowej Strażnicy.

M. Rewaj, T. Piotrowski i T. Rewaj

Żłobisty Szczyt

I wejście filarem kulisy pn.-wsch. ściany: Tadeusz Piotrowski i Tadeusz Rewaj, 14 VIII 1966. Skrajnie trudno, miejsca H1, 7 godz. Piękna wspinaczka w pewnej skale i w dużej ekspozycji, przy znacznym nagromadzeniu trudności. Zob. też „Taternik” 1/1967 s. 43.

Wejście w ścianę tuż na lewo od linii spadku dolnego uskoku kulisy. Z szczeliny brzoźnej kominowatą rynną ukośnie w prawo na spiętrzenie do dużych bloków (50 m, III). Teraz przez przewieszki z prawej (V) i nad nią trawers skośnie w prawo 30 m



do wyraźnego kominka przechodzącego w górę w pęknięcie między filarem kulisy, a odpięniętą turnicą (IV). Kominkiem i po zaklinowanych w pęknięciu blokach na turnicy, z której szeroki krok na płyty filara (V), a dalej pęknięciem ukośnie w lewo do skał tworzących rodzaj nżyży (stanowisko). Wspomnianym pęknięciem nieco dalej w lewo pod spiętrzenie i stąd w górę słabo urzeźbionymi płytami (V+) pod wyraźny komin, którym na ostrze filara pod następne spiętrzenie (IV). Stąd prawą stroną filara (VI, H1) do płytkiego za-

prawo po pionowej ścianie (VI) do płytowego poderwanego zacięcia. Teraz w prawo w górę po płycie (V) pod kominek, którym w lewo na ostrze filara (IV) i na lewą jego stronę. Trawiasto-skalnym terenem 70 m w prawo w górę do siodełka, w którym filar kulisy zatracą się w ścianie szczytowej. Prosto w górę (częściowo V) dwa wyciągi na wcięcie w grani i stąd w lewo na wierzchołek.

T. Piotrowski i T. Rewaj

Batyżowiecki Szczyt

I wejście pd. ścianą wprost na Batyżowiecką Igłę: Tadeusz Piotrowski i Zdzisław Prusisz, 8 VIII 1964. Droga skrajnie trudna, niezmiernie eksponowana i piękna, o pewnej skale, 4 godz.

Z Batyżowieckiej Igły spada potężne żebro, które w dolnej części przybiera postać trójkątnej ściany. Mniej więcej w jej środku wchodzimy do płytkiej depresji, którą wprost do odstrzeżonego bloku (III). Stąd trawers w lewo, trawiasto-skalną półką do skalnego zęba. Następnie wprost w górę z lekkim odchyleniem w prawo do rynny i nią do miejsca, gdzie zatracą się w ścianie (III). Tu trawers w prawo 4 m przez odpychającą ściankę (V) i pionową ścianą w górę na wygodną plasienkę (V) – całkowita ekspozycja.

Stąd trawers w lewo do płytkiej depresji (V), którą w górę do szerokiej rysy (V), doprowadzającej do małej półeczki (III). Następnie płytową ścianą z odchyleniem w lewo w kierunku pasa przewieszek (V). Dochodzimy do kominka, którym w górę, omijając z lewej strony znajdującą się w nim przewieszkę (V), pod wspomniane przewiesz-

ki. Pokonujemy je wprost kominkiem z zaklinowanymi blokami (VI), wychodząc na stromy skalisty zachód. W skos zachodu na jego ostrze i nie dochodząc pod pas piętrzących się przewieszek, trawers w prawo z pomocą poziomej szczeliny (V). Jeszcze kilka metrów w prawo, po czym szerokim trawiastym zachodem w lewo ponad wspomniane przewieszki, na krawędź zęba, którym na szczyt Batyżowieckiej Igły. Granią w prawo drogą WHP 1592 CD na główny wierzchołek Batyżowieckiego Szczytu.

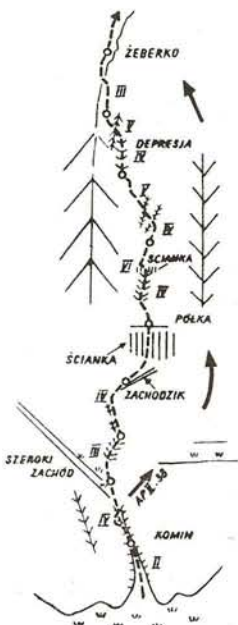
T. Piotrowski i Z. Prusisz

Pośrednia Śnieżna Turnia

I przejście lewej części zach. ściany (filara): Jan Kielkowski i Adam Uznański mł., 27 VII 1966. Trudności V, z jednym miejscem VI. Droga piękna, w litej skale, 3 godz.

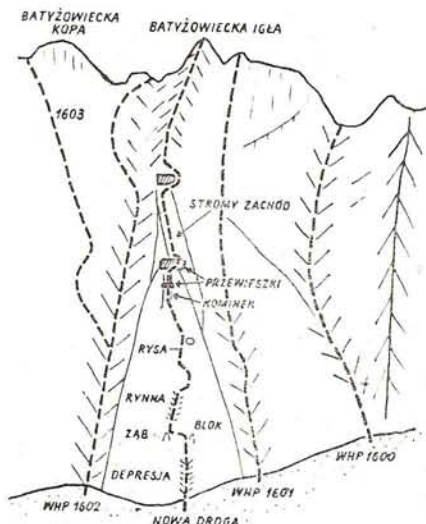
Wejście w ścianę razem z drogą AP II. 38. Od końca kominka w górę trawiastym terenem pod skośnie, w prawo idące zacięcie. Nim w górę na kazalnicy, skąd dobrze urzeźbioną ścianką na trawiasty zachodnik. Nim w prawo pod stromą ściankę, którą ok. 30 m (V) na wygodną półkę. Dalej kilka metrów w górę i skośnie w lewo do zacięcia, którym nieco w prawo na półeczkę pod przewieszoną ścianką. Przez nią w górę (VI) i dalej w prawo na skalny stopień. Ze stopnia skośnie w prawo a następnie w lewo przez 2 zacięcia oraz stromą ściankę do początku wyraźnej depresji. Niał w górę ok. 20 m, po czym trawers w lewo na ostrze grani, w jaką przechodzi filar. Granią nietrudno ok. 4 wyciągi na wierzchołek.

J. Kielkowski



cięcia i nim skośnie w prawo na system półek pod następne zacięcie, spadające z ostrza filara (V). Stąd kilka metrów w górę i trawers skośnie w prawo półką poza krawędź skalną do potężnego zacięcia płytowego (IV), ograniczonego z lewej strony zbudowanym z potężnych bloków ostrzem filara, zaś z prawej stromą, popękaną płytą, zamkniętą w odległości 60 m okapem z charakterystycznym zębem.

Srodkiem płyty zrazu po stopniach, a później pionowym pęknięciem w górę (VI) do końca pierwszej płyty. Dalej po stopniach do półeczki, na prawo od której biegnie głęboka szczelina (stanowisko). Dalej w górę pionowym pęknięciem pod pierwszą przewieszkę okapu (nie iść w lewo pod drugą!) i stąd trawers hakowy (6 m H1) skośnie w prawo na skraj płyty, skąd wyjście w górę w dużej ekspozycji (VI) na lepiej urzeźbioną płytę. Niał do końca i przewinięcie za kant z obniżeniem w



Taternictwo jaskiniowe

Speleolodzy z Tbilisi w Tatrach

W Polsce przebywała na zaproszenie Speleoklubu Warszawskiego PTTK 11-osobowa grupa speleologów gruzińskich — członków Sekcji Speleologicznej przy Gruzjińskiej Republikańskiej Radzie Turystyki (sekcja ta zrzesza ogółem 150 osób z Tbilisi, Kutajsi i Suchumi).

Na czele grupy, która przebywała u nas od 7 do 20 czerwca 1967 r. stał redaktor rocznika „Pieszczery Gruzji”, speleolog i alpinista, profesor Kote Dżawriszwili. W skład grupy wchodził: geograf Giwi Kałabegiszwili, zoolog Rewaz Dżanaszwili (przewodniczący wspomnianej Sekcji Speleologii), Kote Tabatadze, Jurij Awdalow (st. inżynier grupy, która zaprojektowała udostępnienie dla turystów Jaskini Iwierskiej). Tamaz Gordezjani, geolog Kjazo Rakwiaszwili, geolog Tamaz Kiknaze, Soliko Habeiszwili (kierownik oddziału Klubu Górskiego, mistrz sportu, znany alpinista, który był w wielu górach — w Kaukazie, Pamirze, na Kamczatce i w Alpach), Othar Ckwitinidze oraz Giwi Smyr.

Jak nas poinformował prof. Dżawriszwili, na terenie Gruzji znanych jest ok. 10 000 jaskiń z czego około $\frac{1}{3}$, to jaskinie częściowo wykonane przed wiekami przez ludzi. Wiele z tych jaskiń jest predestynowanych do tego, aby stać się dużą atrakcją dla tysięcy odwiedzających Gruzję turystów. Zanim jednak jaskinie te będą mogły przyjąć zwiedzających, muszą być odpowiednio zabezpieczone i udostępnione.

Celem wizyty gruzińskich speleologów u nas było m. in. zapoznanie się w jaki sposób w Polsce udostępnia się jaskinie i inne podziemia dla masowego ruchu turystycznego. Podczas pobytu w Tatrach speleolodzy zwiedzili wstępne partie jaskini Szczelina Chochołowska, a po przeniesieniu się na Ornak byli w jaskiniach Mylnej i Raptawickiej. Z kolei w towarzystwie dwóch członków Speleoklubu Warszawskiego, J. Giżewskiego i niżej podpisanego odbyli wyprawę do najdłuższej w Polsce Jaskini Czarnej. Wyprawa ta odbyła się w wyjątkowo niesprzyjających warunkach atmosferycznych (padający obficie mokry śnieg i b. dużo wody pod ziemią).

Podczas kolejnej, tym razem powierzchniowej wycieczki — na Kominiański Wierch od Doliny Smytniej — pogoda była łaskawsza choć warunki w pełni zimowe. Dalszą pozycją programu było zwiedzenie Jaskini Mroźnej, przy czym speleolodzy gruzińscy

interesowali się również efektem ekonomicznym jej udostępnienia dla turystów. W drodze powrotnej do Warszawy grupa gruzińska obejrzała jeszcze kopalnię soli w Wieliczce.

Zebrane w ten sposób informacje mają być wykorzystane w Gruzji. Już w tej chwili trwają tam na wielką skalę roboty przy udostępnianiu Jaskini Iwierskiej (Anakopijskiej) w Abchazji. Sztuczna sztolnia wejściowa, którą obecnie kują górnicy, będzie miała długość 1300 m, a przystosowany do zwiedzania ciąg wielkich sal i korytarzy — ok. 1,5 km.

Bernard Uchmański

Sympozjum speleologiczne

W dniach 14—16 X 1966 r. odbyło się w Karpaczu IV Sympozjum Speleologiczne, zorganizowane przez Sekcję Speleologiczną Towarzystwa Przyrodników im. M. Kopernika. Wzięło w nim udział 38 osób, wygłoszono około 20 referatów na temat badań naukowych jaskiń. Zjazd zakończyła wycieczka do Radochowa i Jaskini Radochowskiej. Obszerne sprawozdanie B. W. Wołoszyna ukazało się w miesięczniku „Wszelchświat” 3/1967 s. 82—83.

Warszawiacy w Miętusiej

W dniach 1—14 II 1967 r. Speleoklub Warszawski PTTK zorganizował kolejną, już piętnastą swoją wyprawę do Jaskini Miętusiej. W wyprawie wzięło udział 25 osób ze Speleoklubu Warszawskiego i 1 z Częstochowskiego. Całością kierował J. Bzowski, bazę w Kirach prowadziła Z. Krassowska. Ośmiośpiworowy biwak pod ziemią urządzono przy Szmaragdowym Jezioroku za Syfonem Zielonego Buta, w najbardziej odległej od otworu części jaskini. Opróżnienie z wody tego syfonu w celu otwarcia przejścia w głąb jaskini zajęło 12 godzin, a więc więcej niż przy pierwszym przejściu. Powodem tego była odwilż w Tatrach i przybór wód w jaskini.

Wyprawa miała charakter eksploracyjny i stawiała sobie za cel rozwiązanie ostatnich problemów pozostałych sprzed 2 lat: 1. zbadanie końcowych Kominów Miętusiańskich; 2. zbadanie korytarza Białego; 3. trawers nad Awenami Miętusiańskimi; 4. przebada-

nie wszystkich kominów pomiędzy biwakiem a problemami końcowymi.

W końcowych Kominach Miętusiańskich posunięto się o dalsze 100 m, po czym stwierdzono, że szczelina, na której rozbudowane są Kominy ścieśnia się i zatyka, uniemożliwiając przejście. Korytarz Biały, jak się okazało, kończy się zabłoconą studzienką. Wielogodzinne skrajnie trudne wspinaczki nad Awenami Miętusiańskimi także były mało efektywne. Największe stosunkowo odkrycia poczyniono w pobliżu Sali ze Żłotą Kaczką. W sumie podczas całej wyprawy odkryto ok. 500 m nowych korytarzy, a więc długość Miętusiej wzrosła

obecnie do ok. 5 km, co daje tej jaskini drugą (po Czarnej) lokatę w kraju. Rozwiązanie kilku problemów w sensie negatywnym (typu: dotarcie do dna studni, czy do końca korytarza) należy zaliczyć do pozytywnych wyników wyprawy. W tej chwili, jak się wydaje, dalsze ewentualne odkrycia wymagać tu będą większego nakładu pracy (np. przekopów).

Niewątpliwym osiągnięciem ostatniej warszawskiej wyprawy do Miętusiej był też fakt, że końcowe partie jaskini zwiedziło aż 16 osób.

Bernard Uchmański

Wypadki i ratownictwo

Niebezpieczeństwo w zjeździe

Metoda zjazdu z pomocą klucza „S” lub „8” (tzn. naszego klasycznego klucza alpejskiego – przyp. tłum.) jest jeszcze bardzo rozpowszechniona. Przy takim zjeździe lina przechodzi pod udem i nad przeciwnym ramieniem, przy czym jedna ręka utrzymuje z przodu równowagę, druga zaś z tyłu służy do hamowania.

Jeden ze studentów uniwersytetu w Genewie zjeżdżał w ten sposób z przełęczki Aiguille du Roc w Chamonix, z wysokości 45–50 metrów. Pierwsze 20 metrów są pionowe, przy czym nogi opierają się o ścianę, dalsza partia jest przewieszona. Rozpoczynając zjazd w części przewieszonej, alpinista odczuł ból w dole nadobojczykowym, tzn. w tym miejscu gdzie lina, przechodząc przez ramię, uciska boczną część szyi. W jedną lub dwie sekundy później jego lewe ramię zostało całkowicie sparaliżowane. Musiał być zniesiony przez zespół ratowniczy, a zdolność ruchu odzyskał dopiero w parę tygodni później.

Zdaniem owego wspinacza, większość alpinistów którzy wypadli z klucza dla bliżej nieznanych przyczyn, to ofiary właśnie tego typu przypadków.

Cóż bowiem dzieje się w takiej sytuacji? Splot barkowy (*Plexus brachialis*) zostaje silnie uciśnięty przez linę na wysokości dołu nadobojczykowego na bocznej powierzchni szyi. Splot barkowy w tym miejscu znajduje się blisko powierzchni i nie jest chroniony przed dłuższym uciskiem liny zjazdowej. Ucisk ten może spowodować bądź kontuzję nerwu, bądź też jego niedowład lub całkowity paraliż, co połączone jest ze zniesieniem możliwości ruchów czynnych danej kończyny.

Alpinści powinni znać ten rodzaj niebezpieczeństwa, a już zwłaszcza dotyczy to instruktorów. To też „klasyczna” metoda zjazdu nie powinna być nigdy używana bez dodatkowej asekuracji lub przynajmniej bez doskonałego zabezpieczenia węglenia szyjno-obojęzycznego.

Dr. Louis-Alexis Gaillard
(UIAA-Bulletin No 25, Mai 1967 – tłum. P. Cz.)

Strzałka wskazuje przypuszczalny tor głazu. Przy szlaku na Rysy oznaczono punktem miejsce wypadku, jakiemu ulegli w r. 1958 uczestnicy wycieczki, którzy weszli do pieczary lodowej pod śniegiem. Wskutek załamania się stropu 1 osoba poniosła śmierć, 2 zostały ciężko ranne.

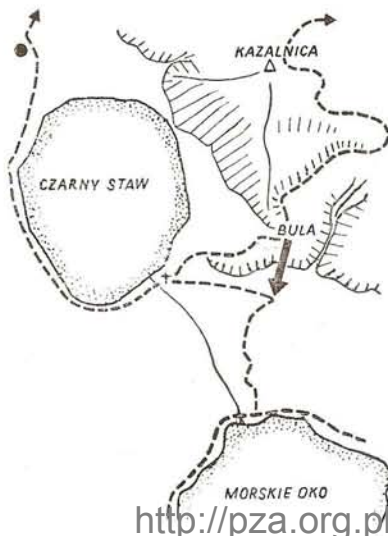
Rys. Józef Nyka

Wypadki w górach Włoch

„Rivista Mensile del C.A.I.” nr 4/1967 zamieszcza szczegółowy raport włoskiego pogotowia górskiego za rok 1966. Corpo di Soccorso Alpino del C.A.I. interweniowało w tym okresie w 267 wypadkach (alpinistycznych, turystycznych, narciarskich i innych), z czego 60% wydarzyło się w drodze do góry, a 40% w zejściu. 35% wypadków miało miejsce w terenie łatwym, 25% w nieco trudnym, a zaledwie 6% w bardzo trudnym. Najczęstszą przyczyną było poślizgnięcie się na lodzie (17%), na drugim miejscu idą odpadnięcia w skałę (17%), dalej – załamania pogody (15%), spadające kamienie (7%) itp. Interwencje objęły łącznie 590 osób, z czego 17% to zabici, 14% ciężko ranni i 15% łżej ranni. Jeśli chodzi o wiek, najniebezpieczniejsze okazują się lata 20–25 (28%), następnie 25–30 (21%) i 15–20 (19%). Z wiekiem przybywa rozsądku, a i ilość chodzących po górach się zmniejsza. Aż 88% ofiar wypadków to mężczyźni.

Śmierć na ścieżce

Dnia 10 VI 1967 r. nad Morskim Okiem przebywała wycieczka szkolna z Janowic Rybnickich. 30-osobowa grupa dzieci udała się pod opieką nauczycieli nad Czarny Staw, a następnie schodziła ścieżką z powrotem nad Morskie Oko. Padał



<http://pza.org.pl>

deszcz, mgła zakrywała góry, widoczność była bardzo ograniczona. Kilkanaście metrów za grupą szła nauczycielka Krystyna Dzierżę (24 lata), a z nią uczeń Stanisław Joachimski (15 lat). Gdy znajdowali się na początku drugiego (licząc od góry) zakosu, rozległ się łomot i w ścieżkę uderzył skalny blok. Jeden z odłamków, na jakie się rozluźnił, ugodził chłopca w głowę, nauczycielka zaś uderzona z tyłu w tułów spadła ok. 5 m poniżej ścieżki — głową w kamienie. Oboje zginęli na miejscu. Ow fatalny blok spadł najprawdopodobniej ze skał bułi (ok. 1725 m), przez którą wiedzie szlak na Przełęcz pod Chłopkiem. (m)

Ratownicy GOPR w Austrii

Na zaproszenie Oesterreichischer Bergrettungsdienst w Wiedniu przebywała w dniach 22 V — 1 VI 1967 r. na kursie ratownictwa górskiego ekipa ratowników GOPR w składzie: Wojciech Bartkowski, Józef Bukowski, Michał Gajewski i Stanisław Zontek (ostatni z Grupy Beskidzkiej).

Kurs miał bazę w dolinie Schwarza w schronisku Weichtalhaus pomiędzy Schneeberg a Raxalpe, zajęcia praktyczne odbywały się w okolicznych dolinach i na pobliskich ścianach. W zespołach polsko-austriackich odbyto wspinaczkę na Schneeberg z Doliny Stadelwand (IV, 4 godz. tzw. „Leśna droga”). Przeprowadzono wiele interesujących ćwiczeń z zakresu ratownictwa i wspinaczki. Najciekawsze były ćwiczenia w wydobywaniu rannych ze ścian sposobami improwizowanymi z pomocą podstawowego sprzętu wspinaczkowego — liny i karabinków. Metoda ta pozwala jednemu ratownikowi zwieźć ze ściany rannego, przy czym chodzi przede wszystkim o ściany mniejsze.

Wszystkie te ratownicze nowości zostały przedyskutowane i praktycznie wypróbowane podczas przygotowań do sezonu letniego, prowadzonych przez Grupę Tatrzańską GOPR.

M. Jagielto

Ratownictwo w Szwajcarii

Na obszarze Szwajcarii ratownictwo górskie spoczywa w rękach Club Alpin Suisse, który utrzymuje 130 stacji ratunkowych we wszystkich bar-

dziej zagrożonych zakątkach Alp. Koszta organizacji, szkolenia ratowniczego, wyposażenia i sprzętu ponosi SAC niemal w stu procentach — udział władz państwowych (policja) i organizacji społecznych jest znikomy. Szczególnie duże są wydatki związane z utrzymaniem kilkuset psów do przeszukiwania lawin. Bezpośrednie koszty akcji ratunkowych obciążają poszkodowanych, jednak w razie nieściągalności kwot — również SAC. Łączna roczna suma urasta tym samym do ok. 120 000 franków. Ponieważ wśród ofiar wypadków górskich członkowie SAC stanowią niespełna 25%, klub domaga się od jakiegoś czasu reorganizacji ratownictwa w tym sensie, by $\frac{3}{4}$ kosztów stałych (100 000 fr. rocznie) wzięły na siebie władze kantonalne, zaś tylko $\frac{1}{4}$ (30 000 fr.) — SAC. Poprawiłoby to w znacznym stopniu budżet organizacji, a także pozwoliłoby na wprowadzenie ulepszeń w wyposażeniu i przygotowaniu służby ratowniczej.

Wypadek J. Warteresiewicza

W dniu 26 VI 1967 r., demonstrując wspinaczkę podczas zajęć szkoleniowych, uległ wypadkowi Jerzy Warteresiewicz. Odpadł on z wysokości około 6 m, wyrwał słabo wbity hak i uderzył w spadzisty trawnik, co spowodowało złamanie kręgosłupa (pęknięcie pierwszego kręgu lędźwiowego) z uszkodzeniem rdzenia i następnym porażeniem obu kończyn dolnych. Po krótkim pobycie w szpitalu w Krakowie, chory przewieziony został awionetką do Stołecznego Centrum Rehabilitacji w Konstancinie pod Warszawą. Wypadek miał miejsce w Dolinie Kobylańskiej, na skałce zwanej od tkwiącego w niej pocisku „Kulą”.

Niemal równocześnie z wiadomością o wypadku nadszedł do naszej redakcji nowy numer kwartalnika „Alpinismus” (7/1967), zawierający artykuł R. Goedeke „Gefahr im Klettergarten”. Autor zwraca uwagę na niebezpieczeństwa wspinaczek skałkowych i przytacza przykłady wybitnych alpinistów, którzy w skałkach bądź zginęli, bądź odnieśli poważne kontuzje. Wśród pierwszych widnieją takie nazwiska, jak król belgijski Albert I, Emilio Comici i Toni Kinschofer, wśród drugich — m. in. czołowy wspinacz Czechosłowacji, Radovan Kuchař, który od roku leczy skomplikowane złamanie nogi w stawie.

Tatrzański Park Narodowy

Inwestycje w Tatrach

Kierownictwo Tatrzańskiego Parku Narodowego wiele uwagi poświęca właściwemu zagospodarowaniu turystycznemu regionu. W roku ubiegłym — korzystając z dotacji Centralnego Funduszu Turystyki i Wypoczynku — gruntownie przebudowano 4 ważne szlaki wycieczkowe w Tatrach Wysokich. Są to ścieżki:

- 1) Kozia Dolinka — Kozia Przełęcz (długość 900 m, koszt 44 000 zł);
- 2) Kozia Dolinka — Przełęczka nad Doliną Buczynową (długość 1100 m, koszt 40 000 zł);
- 3) Czarny Staw — Bula pod Rysami (800 m, 33 000 zł);
- 4) Kocioł pod Rysami — Rysy (1100 m, 24 000 zł).

Ponadto na Polanie Rogoźniczańskiej zelektryfikowano kosztem 135 000 zł pole campingowe, zaś na Hali Pisanej wybudowano szalet (168 000 zł).

Drugą pulą inwestycyjną TPN są dochody z leśnych gospodarstw pomocniczych. Z funduszu tego, który w r. 1966 wynosił 368 000 zł, postawiono m. in. 4 schrony przeciwdeszczowe, przygotowano pola campingowe dla członków Klubu Wysokogórskiego, zainstalowano 21 tablic informacyjnych, przeprowadzono remont i konserwację ok. 500 m² szlaków turystycznych, odrestaurowano na 12 odcinkach ubezpieczenie Orlej Perci, odnowiono trzy mostki w dolinie Rostoki, oraz zapoczątkowano prace przy renowacji zieleni na Kasprowym Wierchu.

W roku bieżącym — z funduszy CFTiW — planuje się przebudowę szlaku okrężnego

Pisana — Smocza Jama — Pisana (110 000 zł), szlaku Strążyska — Grzybowiec (80 000 zł), ścieżki znad Czarnego Stawu na Granaty (130 000 zł), oraz szlaku Ornak — Iwaniacka Przełęcz (80 000 zł).

Z. Jurkowski

Akcja wykupu hal

Uchwała Rady Ministrów o wykupie hal tatrzańskich na rzecz Skarbu Państwa zapadła 8 grudnia 1960 r. Do wykupu pozostawało ok. 6000 ha lasów, hal i nieużytków. Była to sprawa trudna: liczba większych właścicieli sięgała 400, a rzesza drobnych — 6000 osób!

Do końca 1965 r. wykupiono od 3500 górali 3000 ha. Pod opieką TPN przeszły m. in. cała Dolina Rybiego Potoku, Hala Gąsienicowa, Strążyska, doliny Pięciu Stawów, Małej Łąki i część Kościeliskiej. Dotychczasowy koszt akcji wyniósł 34 000 000 zł. Ceny wykupu są nader korzystne: od 2500 zł za hektar zupełnych nieużytków, do 120 000 zł za hektar lasów. Do roku 1970 akcja przejmowania Tatr z rąk prywatnych zostanie całkowicie zakończona. W górach, dla zachowania folkloru, pozostanie najwyżej 1000 owiec.

Warto zaznaczyć, iż przed rozpoczęciem tej wielkiej akcji przygotowano w Bieszczadach 8000 ha wspaniałych pastwisk. Wypasa się tam już teraz 20 000 podhalańskich owiec. (zb)

Były i takie czasy...

„Ze względu, że Wydział Towarzystwa (Tatrzańskiego) w swoim czasie poparł u miarodajnych czynników projekt p. inżyniera Waleryana Dzieślewskiego budowy zębatej kolei żelaznej wąskotorowej z Zakopanego na Liliowe głównie z tego powodu, że z południa od linii podtatrzańskiej mogłoby kiedyś w przyszłości nastąpić zbudowanie podobnej kolei zębatej, zajmował się Wiec (członków Towarzystwa Tatrzańskiego w dniu 5 VIII 1903) w powyższym dniu dyskusja nad tym projektem. Wiec przemawiał za korzyściami budowy kolei żelaznej z Zakopanego do ujścia doliny Kościeliskiej, a stamtąd przez Uplaz na Czerwone Wierchy, za wystawieniem hotelu na Uplazie; w drugim rzędzie oświadczył się Wiec za budową kolei na Krzyżnem i za wystawieniem hotelu poniżej grani Krzyżnego, wreszcie na ostatnim planie za budową kolei do Stawów Gąsienicowych i na przełęcz Liliową i ewentualną budową hotelu poniżej grani tej przełęczy.”

„Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego” t. XXV, r. 1904 s. XVII.
Wstawki w nawiasach — Red.
„Taternika”.

Zwierzyna na obszarze TANAP

„Wysokie Tatry” zamieszczają w numerze 2/1967 r. artykuł omawiający historię i obecny stan zwierzyny w słowackich Tatrach Wysokich. Jelenie rozmnożyły się tu przed I wojną światową, a po raz wtóry w latach 1960-tych, kiedy to osiągnęły liczbę 1200 sztuk. Ponieważ Tatry nie mogły ich tylu wyżywić, pogłowie zredukowano do ok. 700. Natomiast stan saren mógłby być większy — jest ich obecnie ok. 450. Liczba kozic waha się w granicach 915—950 sztuk, pogłowie świstaków ocenia się na ok. 750 par. Rysie rozmnożyły się już do 28 sztuk. Nieco mniej jest niedźwiedzi (22—23), których ilość mniej więcej odpowiada pojemności Tatr. Wilki zjawiały się w Tatrach po II wojnie światowej. W latach 1957—61 było ich tu przeszło 30, obecnie na terenie TANAP przebywa stale około siedmiu.

Ochrona przyrody w Alpach

Zachodnie pisma alpinistyczne coraz to więcej uwagi poświęcają sprawom ochrony przyrody gór. Ostatni biuletyn „Die Alpen” (6/1967) przynosi obszerne zestawienie publikacji naukowych poświęconych Szwajcarskiemu Parkowi Narodowemu (geologia, klimat, fauna). Od jakiegoś czasu pismo to prowadzi stałą rubrykę „Protection de la nature alpine”. W kwartalniku „Mountain Craft”, oficjalnym organie Mountaineering Association, w zeszycie „lato 1967”, S. H. White pisze o narastającym konflikcie między miłośnikami gór a amatorami kolejek linowych (The Mechanisation of Mountains).

TANAP w 100 zdjęciach

W lipcu 1967 r. w Ośrodku Kultury Czechosłowackiej w Warszawie (ul. Marszałkowska) odbyła się wystawa „Tatrzański Park Narodowy”, obrazująca z pomocą kilkunastu plansz problematykę geograficzną, przyrodniczą, etnograficzną i turystyczną słowackiej strony Tatr Wysokich. Wśród fotogramów nie brakowało oczywiście efektownych zdjęć z wspinaczek oraz akcji ratowniczych HS TANAP. Zorganizowana niewielkim kosztem przenośna wystawa cieszyła się w Stolicy dużym zainteresowaniem i dobrze spełniła swą rolę popularyzacyjną.

Przypomnijmy: słowacki Tatrzański Park Narodowy (Tatranský Národný Park w skrócie TANAP) został utworzony w r. 1948. Obejmuje on cały obszar Tatr Wysokich, Tatry Bielskie oraz należącą już do Tatr Zachodnich połać Doliny Cichej (łączna powierzchnia ok. 50 000 ha). Dyrekcja ma siedzibę w Łomnicy Tatrzańskiej, tam też mieści się małe, lecz warte zwiedzenia muzeum.

Z Życia Klubu Wysokogórskiego

Ostry początek lata 1967

Liczne w tym roku wojaże zagraniczne naszych wspinaczy ściągnęły w Tatry sporą ich liczbę już w pierwszej połowie czerwca. Oczekiwanie na poprawę warunków atmosferycznych opłacało się: okres słonecznej pogody, jaki nastał od 19 VI należał do najdłuższych, jakie zapamiętaliśmy z Tatr na przestrzeni kilku ostatnich sezonów letnich. Przygotowująca się do wspinaczek alpejskich czołówka dokonała większości lepszych wejść początku sezonu. Z nowych dróg warto odnotować następujące:

Młynarzowe Widła południowo-zachodnim filarem, V – T. Piotrowski, K. Rusiecki i A. Skłodowski, 20 VI 1967.

Wielka Teriańska Turnia prawą częścią północnej ściany, V+ – E. Chrobak, A. Heinrich, J. Kurczab i R. Zawadzki, 20–21 VI 1967.

Młynarzowe Widła południowo-zachodnim filarem, V – K. Liszka, J. Poręba i A. Skłodowski, 23 VI 1967.

Koprowy Wierch prawym filarem północnej ściany, IV – E. Chrobak, A. Heinrich i R. Zawadzki, 23 VI 1967.

Cubryna prawym filarem północno-zachodniej ściany, VI – K. Liszka, J. Poręba i A. Skłodowski, 24 VI 1967.

Na wysokim poziomie stoją również powtórzenia. I tak, powtórzona została po raz pierwszy trudna droga Heinricha i Sadusia na wschodniej ścianie Mnicha (J. Brudny i M. Kata, 20–21 VI). M. Głogoczowski i M. Kozłowski przeszli zachodnią ścianę Łomnicy „Hokejką” (22–23 VI), a T. Piotrowskiemu i K. Rusieckiemu powiodło się – jako pierwszym Polakom – przejście drogi Hutschkego na Galerii Gankowej (21 i 23 VI). Wreszcie dwójka J. Kielkowski i A. Uznański (Kraków) przeszła w ładnym stylu drogę Chrobaka i Heinricha na Kazalnicy (26–27 VI), którą w dniach 8 i 9 VII przebyli również J. Gacek i R. Kowalewski. Było to IV i V przejście tej drogi, dotąd przechodzonej w czasie nie krótszym, niż 3 dni.

Janusz Kurczab

Walny Zjazd KW

W dniach 4 i 5 III 1967 r. obradował w Warszawie Walny Zjazd Delegatów Klubu Wysokogórskiego, w którym uczestniczyło 57 delegatów oraz 37 zaproszonych gości, w tym 2 z zagranicy (Wiktor Ostrowski i Borys Romanow, przedstawiciel Federacji Alpinizmu ZSRR). Przewodniczącym Zjazdu wybrano Piotra Zółtowskiego, jego zastępcami – Ryszarda Gradzińskiego i Adama Dobrowolskiego. Sekretarzem był Zbigniew Lesnobrazdzi.

Uderzającą cechą Zjazdu była jego wręcz doskonała organizacja, co jest zasługą na równi wyjątkowego talentu Przewodniczącego, jak również staranności ustępującego Zarządu, który wnikliwie przygotował obrady. O sprawnym przebiegu Zjazdu w głównej mierze zadecydowało ograniczenie dyskusji plenarnej do tematyki związanej z absolutorium oraz powołania 7 sekcji (Sportowej, Wypraw, Szkoleniowo-Wychowawczej, Sprzętowej, Bezpieczeństwa Górskiego, Propagandy i Taternictwa Jaskiniowego), które obradowały wieczorem pierwszego dnia, dyskutując wnioski i formując ich treść. W efekcie obrady plenarne trwały tylko po 5 godzin, a bogata tematyka Zjazdu została w pełni wyczerpana. Wyróżniało to ostatni Walny Zjazd (a to samo można powiedzieć o poprzednim) w porównaniu z naradami sprzed kilkunastu czy nawet kilku lat,

gdzie dyskusje prowadzono do późna w noc – bez przygotowania problematyki i bez selekcji tematów.

*

Po części proceduralno-powitalnej, Czesław Bajer i Krzysztof Tatarkiewicz wygłosili referaty na temat problemów szkoleniowo-wychowawczych. Po okolicznościowych przemówieniach Wiktora Ostrowskiego, Borysa Romanowa i Wojciecha Militza (ZG PTTK), Prezes KW Czesław Bajer odczytał syntetyczne sprawozdanie (szczegółowe sprawozdania komisji ZG oraz Sądu Koleżeńskiego zostały udostępnione uczestnikom w formie tekstów powielonych). Sprawozdanie Głównej Komisji Rewizyjnej złożył jej przewodniczący, Julian Laszkiewicz. Po treściwej dyskusji, Zjazd uchwalił prawie jednomyślnie wniosek o udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi Głównemu. Drugi wniosek Komisji Rewizyjnej, o wyrażenie specjalnego podziękowania ustępującemu Prezesowi, Czesławowi Bajerowi, został aprobowany hucznymi oklaskami.

*

Drugiego dnia Zjazd wysłuchał koreferatu Jerzego Hajdukiewicza na temat problemów szkoleniowo-wychowawczych. Następnie przewodniczący Komisji Wnioskowej,

Andrzej Paczkowski, odczytał projekty uchwał opracowane przez sekcje Zjazdu, po czym przystąpiono do ich głosowania. W uchwalach znalazły wyraz zażądania ze wszystkich kierunków działalności Klubu, na czoło jednak wybiły sprawy wychowawcze, szkoleniowe i z zakresu bezpieczeństwa górskiego. Można powiedzieć, że Zjazd odbywał się pod znakiem dominacji tych trzech tematów, rozstrzygających przecież o kierunku rozwoju Klubu. Uchwalono również znaczne podwyższenie wymagań stanowiących warunki uzyskiwania stopni członkowskich KW, co z kolei jest odzwierciedleniem faktycznego wzrostu ogólnego poziomu sportowego taterników. W Dalszej kolejności Zjazd uchwalił nadanie godności członka honorowego lordowi J. Huntowi oraz drowi K. Sayse-Tobczykowi. W wolnych wnioskach m. in. przekazano na ręce Wiktora Ostrowskiego serdeczny adres skierowany do polskich alpinistów w Argentynie.

*

W wyniku wyborów i ukonstytuowania się nowych władz centralnych Klubu (tego samego dnia po zakończeniu Zjazdu) skład osobowy Zarządu Głównego, Głównej Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego przedstawia się jak następuje:

Zarząd Główny

Prezes: Czesław Bajer
Wiceprezesi: Andrzej Paczkowski (przew. Komisji Sportowej) i Józef Nyka (przew. Komisji Propagandy).
Sekretarz: Jan Kowalczyk
Zastępca sekretarza: Andrzej Skłodowski
Skarbnik: Antoni Janik
Zastępca skarbnika: Jerzy Jagodziński
Członkowie ZG: Stanisław Biel (przew. Komisji Bezpieczeństwa Górskiego), Ryszard Gradiński (KTJ), Andrzej Hein-

rich (przew. Komisji Narciarstwa Wysokogórskiego), Stanisław Kuliński (przew. Komisji Wypraw), Janusz Kurczab, Olgierd Polakowski (przew. Komisji Sprzętowej), Ryszard Szafirski, Krzysztof Tatarkiewicz (przew. Komisji Szkoleniowo-Wychowawczej) Jerzy Warteresiewicz.

Główna Komisja Rewizyjna

Członkowie: Zbigniew Korosadowicz, Kazimierz Kowalski, Ryszard Kozioł, Bogdan Mac

i Adam Zyzak (z Katowic).
Zastępcy: Maciej Kozłowski i Julian Laszkiewicz.

Sąd Koleżeński

Przewodniczący: Adam Dobrowolski
Członkowie: Antoni Gąsiorowski, Jerzy Hajdukiewicz, Michał Jagiello, Jerzy Mitkiewicz, Zbigniew Rubinowski, Jan Stryczyński, Andrzej Zawada i Stanisław Zierhoffer.

Zbigniew Lesnobrański

Z piśmiennictwa

Adam Skoczyła: Tam gdzie góry sięgają nieba. Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1966; s. 231, 66 ilustracji na wkładkach. Cena zł 20.

Kilkumiesięczny pobyt w Himalajach Nepalu określił autor jako „najpiękniejszą i najsmakowszą przygodę życia”. Miał rację. Tylko taka przygoda mogła przynieść książki piękne i mądre – „Białą Górę” i „Tam gdzie góry sięgają nieba”.

Zmienne losy wyprawy na Dhaulagiri pozwoliły autorowi poznać nie tylko smak walki o szczyt, umożliwiły mu również bliższe poznanie himalajskich dolin i zboczy a przede wszystkim ludzi gór najwyższych. Tych ludzi, którzy wśród skalno-lodowych olbrzymów żyją na co dzień – „Tygrysów Himalajów” i innych Sierpów, kulisów czekających aż ktoś zapłaci za ich trud kilka rupii chroniących od głodu, mieszkańców podniebnych wiosek uprawiających tarasowato wznośzące się poletka, pastuchów pasących jak i kozy, myśliwych polujących na barale, dziewczęta oczekujące z takim samym pod każdą szerokością geograficzną lękiem na miłych, którzy mają wrócić z gór...

Wszyscy oni dzielili się z autorem swoją mądrością i słabościami, radością i smutkiem, powodzeniem i klęskami, wiarą i zwątpieniem. Ale, aby to wszystko zrozumieć i, co ważniejsze, opisać – trzeba było czegoś więcej niż zmysłu obserwacyjnego i talentu literackiego. Trzeba było tę „najmądrzejszą przygodę” mądrze przeżyć. Trzeba było mieć w sobie odpowiednią proporcję rozsądku i uczucia, powagi i poczucia humoru, zafascynowania i krytycyzmu. Trzeba było przygotowania naukowego (zwłaszcza etnograficznego) i jednocześnie umiejętności patrzenia na ludzi Nepalu oczyma zwykłego zaciekałego przybysza z dalekich stron.

Przy czytaniu tej właśnie książ-

ki o himalajskich górach myśli się czasem, iż los dał autorowi to, co dał minionym pokoleniom „odkrywających” Tatry – kontakt z „prawdziwymi górami”, legendarnymi już dzisiaj przewodnikami i gospodarzami tatrzańskich chat i szalasów. W niektórych opowiadaniach wyczuwa się po prostu jakby jakąś sabatową nutę, jakby Klimka Bachledy troskę i opiekę... Nie miejsce tu na rozważania, jak środowisko geograficzne wpływa na mieszkańców gór całego świata.

Ale z pewnością właśnie tutaj miejsce na kilka słów podziękowania dla wydawcy za świetnie edytorsko przygotowaną publikację, za całą widoczną staranność jej wydania, a także za duże, choć niestety daremne, wysiłki, aby autor mógł jeszcze tę książkę zobaczyć.

Helena Stawińska

August Grodzicki, Jan Alfred Szczepański: Przez kraj bogów, słońca i oliwek. Wyd. „Iskry”, Warszawa 1966; s. 275. Cena zł 20.

Autorem, a już jednego z całą pewnością, nie trzeba czytelnikom „Taternika” przedstawiać. Grodzicki i Szczepański odbyli dwie podróże samochodem po Grecji. Ich wrażenia, a także ogromna wiedza historyczna złożyły się na tę książkę o kraju, o którym każdy wiele słyszał, nie każdy jednak potrafi powiedzieć więcej, niż nauczono go w szkole. Grecja czasów Homera, Grecja wczorajsza i przedwczorajsza, Grecja lat ostatnich, opisy pamiątek, konfrontacje odczuć i wrażeń autorów z tym, co w zwiedzanych miejscach przeżywali najwięksi mistrzowie pióra – a wszystko opisane żywo, bezpośrednio, z wielką kulturą i erudycją, która jednak nie zniechęca do lektury, lecz przeciwnie, przykuwa do niej i zacieka. Nie byłaby jednak ta książka

omawiana na tych łamach (mimo całej sympatii „Taternika” dla autorów), gdyby nie fakt, że 80 procent powierzchni Grecji to góry, i że ostatni rozdział, napisany przez Szczepańskiego, poświęcony jest właśnie górcom.

I tu autor z turysty oglądającego Grecję z okien samochodu (a że oglądać umie, to inna sprawa) zamienia się znów w Szczepańskiego z Małego Kieźmarskiego, La Meije czy Ojos del Salado.

Odkrywa więc dla nas wspaniałe walory poszczególnych masywów, podaje wysokości ścian, ustala kolejność pierwszych wejść na szczyty i granie. Nawet Olimp, mityczna siedziba bogów, zostaje omówiony z punktu widzenia zainteresowań alpinistów, przy czym autorowi udaje się odnotować polskie wyczyny w tym rejonie w lecie 1965 r., co – biorąc pod uwagę długość naszego cyklu wydawniczego – jest chyba absolutnym rekordem. Dzięki właściwej piśmierstwu Szczepańskiego zwartości tekstu, mały 17-stronicowy rozdział urasta do rangi prawdziwego kompendium wiedzy topograficznej i alpinistyczno-historycznej, w układzie niemal że przewodnikowym. Rzecz bezcenna, zwłaszcza, że możliwości wyjazdu w góry Grecji są zupełnie realne – nie tylko dla wyczynowców, ale również dla zwykłych turystów górskich.

Tak więc każdy, kogo interesują góry i alpinizm w różnych częściach świata, winien sięgnąć po tę książkę. A że przy okazji dowie się wiele nowego o kraju będącym kolebką naszej cywilizacji – to już zysk dodatkowy.

Maciej Kozłowski

Arnost Černík: Mezi olympskými bohy. K vrcholům Olympu a kréské idy. Praha 1966; s. 127. Cena Kčs 20.

Książkę znanego czechosłowackiego alpinisty zaliczamy do literatury górskiej nie bez oporów. Autor opowiada wprawdzie ze

swadą i znawstwem przedmiotu o wejściach na szczyty, ale to tylko pretekst. Jest w jego książce inna warstwa, bardziej zasługująca na uwagę — warstwa stanowiąca wyraz wielkiej sympatii Cernika dla Grecji i jej kultury, zarówno tej starożytnej, z mitami i strzaskanymi kolumnami, jak i dzisiejszej, może nawet silniejszej niż ów świat ruin pociągającej. Z prawdziwą przyjemnością bierze ją do ręki każdy miłośnik antyku, jako świadectwo jeszcze jednego spotkania z Heladą, spotkania głęboko przeżytego.

A góry? Oto one: Olimp, Parnas, Ida na Krete. Wraz z uczestnikami jubileuszowego wejścia na Mytikas (najwyższy wierzchołek Olimpu, 2918 m) w

1964 r. zaglębiamy się w historię zdobywania siedziby bogów i poznajemy jej żywy symbol, wówczas 84-letniego Christosa Kakalosa, uczestnika pierwszego wejścia na ten szczyt (2 VIII 1913). Może warto przy okazji dodać, że pierwszym Czechem na Olimpie był w r. 1932 B. Schulz z Brna, który o 32 lata wyprzedził pierwszych (?) Polaków, Z. i O. Korosadowiczów (r. 1964). W ogóle my tu na północy, zarówno w Czechosłowacji jak i w Polsce, zaczęliśmy się interesować górami Grecji bardzo późno, gdy nam już spowszedniały głośnie i modne Alpy. Gdyby nie obóz UIAA na Krete w r. 1965 (z Polski M. Kozłowski i M. Włodek) oraz napisany przez J. A. Szczepańskiego piękny rozdział w książce

„Przez kraj bogów, słońca i oliwek” (recenzja w tym numerze), mało kto u nas wiedziałby, że w Grecji można się wcale nieźle powspinać.

Nie ma w książce Cernika budzących dreszcze emocji opisów karkołomnych wyczynów, góry są w niej nietrudne, a opowieść o nich prowadzona jest spokojnymi, ciepłymi tonami. Czytając nie zapominamy ani na chwilę, że to o górach Grecji, i bardziej o Grecji niż o górach. Ale w najcieplejszych słowach mówi książka o górskich przyjaźniach, związanych daleko na południe od Pragi, o ludziach, którzy pomogli autorowi zrozumieć Grecję i pokochać ten kraj.

Maciej Popko

Notatki, ciekawostki

Wysoki Atlas 1967

Z początkiem sierpnia powróciła do kraju II Wyprawa Klubu Wysokogórskiego w marokański Atlas. Została ona zorganizowana siłami Koła Pomorskiego pod kierownictwem E. Temlaka. Grupa przebywała poza Polską od 5 kwietnia do 3 sierpnia 1967 roku, przy czym aż 27 dni zajęła podróż morzem. Baza została założona w dolinie Ait Mizan, na wysokości 3207 m n. p. m. Dokonano z niej wejść na przeszło dwadzieścia szczytów, z tego osiem przekraczających wysokość 4000 metrów. Na wierzchołku Džebel Tubkal (4165 m) stanęli wszyscy uczestnicy wyprawy. Grupa górską, w której obozowano, nadaje się zdaniem uczestników doskonale do prowadzenia działalności par excellence wyczynowej, i to zarówno latem, jak i zimą. Skała jest pewna, urzeźbienie dobre, a formacje zaskakująco różnorodne. Długość niektórych dróg przekracza 1000 m. Warto wykorzystać w przyszłości Wysoki Atlas jako cel mniejszych wypraw, świetnie przygotowujących do wyjazdów w góry najwyższe.

J. Jagodziński

Polski wyjazd w Pamir

20 VII 1967 r. odleciała z Warszawy 6-osobowa grupa biorąca udział w Międzynarodowej Wyprawie na Pik Lenina (7134 m), zorganizowanej dla uczczenia 50-lecia istnienia Państwa Radzieckiego. Grupą kieruje

prezes Koła Krakowskiego KW, Stanisław Biel, w skład ekipy wchodzi E. Chrobak, R. Szafirski i A. Zyzak z Klubu Wysokogórskiego oraz P. Młotecki i A. Sobolewski z Polskiego Klubu Górskiego (uprzednio Klub Turystów Górskich). Według informacji, jakie uzyskaliśmy od G. I. Szałajewa, w imprezie uczestniczy — poza delegacją krajów demokracji ludowej — ok. 250 alpinistów radzieckich. W dniu 14 VIII 1967 r. cała polska ekipa osiągnęła wierzchołek Szczytu Lenina (7134 m), przy czym Chrobak, Szafirski i Zyzak przeszli jako trzeci zespół nadzwyczaj trudny wariant. Był również na wierzchołku reporter CAF, Z. Staszyszyn.

Od Alp po Nanga Parbat

Paul Bauer — to nazwisko, z którym wiąże się szmat historii światowego alpinizmu. Najpierw świetny wspinacz skalny i lodowy, później — jak pisze J. K. Dorawski — „najlepszy niemiecki organizator przedsięwzięć himalajskich”. 1928 — I przejście południowego filara Dych-tau. 1929 — Kangchendzönga (książka „Im Kampf um den Himalaja”, 1931). 1931 — drugi niemiecki atak na ten szczyt (książka „Um den Kantsch”, 1933). 1936 — wyprawa w rejon Siniolchu (książka „Auf Kundfahrt im Himalaja”, 1937). 1937 i 1938 — Nanga Parbat. Emerytowany notariusz dr Paul Bauer żyje dziś w Monachium (w grudniu 1966 ukończył 80 lat) i owocnie pracuje w sekcji wypraw zarządu głównego DAV.

Amerykanie na Antarktydzie

Zachodnie pisma alpinistyczne przynoszą już szczegóły dotyczące dokonań 10-osobowej wyprawy American Alpine Club, której udało się zdobyć najwyższe szczyty Antarktydy. Uczestnicy ekspedycji przelecieli samolotem do podnóża Sentinel Range. Działalność rozpoczęli od najwyższego wzniesienia całego kontynentu — Mount Vinson (5140 m), bez większych trudności zdobytego przez całą dziesiątkę w dniach 18, 19 i 20 XII 1966 r. Z obozu II dokonano nadto wypadu na pobliski Mout Shinn (4800 m, 21—24 XII). Następnym celem był drugi co do wysokości szczyt Antarktydy, Mount Tyree (4965 m) — skalny i trudno dostępny. Atak rozpoczęto flanką sąsiedniego Mount Gardner (4688 m — zdobyty 31 XII oraz 2 i 7 I 1967). Z obozu III rozbitego na przełęczce między oboma szczytami B. Corbet i J. P. Evans przeszli trudną 4-kilometrową grań, a następnie 15 wyciągami pokonali stromą kopułę szczytową Mount Tyree (6 I 1967). Dnia 12 I, na zakończenie wyprawy, dokonano jeszcze wejść na Long Gables (4152 m) oraz Ostenso (4179 m) — szczyt o pięknej ostrej sylwetce. Kierownikiem ekspedycji był N. B. Clinch. (Według „Der Bergsteiger” 6/1967).

Kaczy — Kaćaci

Północne stoki Tatr Wysokich należały do polskich wsi spiskich, których mieszkańcy wypasali tu owce i ponadawali polskie nazwy szczytom, jeziorom, polanom. Dolina Kacza figurowała dotąd w słowackich publikacjach pod nazwą „Kačia dolina” (odpowiednio „Kači štít” i pochodne). Powołując się na słownik języka słowackiego wydany przez SAV (t. I 1959), podający jedynie przymiotnik „kaćaci” (od „kačica” = kaczką), Ivan Bohuš w swej pracy o nazewnictwie Tatr Wysokich uznał formę „Kačia” za polonizm i zastąpił ją gramatycznie poprawną — „Kačacia dolina”, „Kačaci štít” itp. Stosują ją już najnowsze słowackie publikacje, m. in. pismo „Vysoké Tatry”. Gdybyśmy w naszym nazewnictwie chcieli pójść za tym przykładem, musielibyśmy wyrugować sporo nazw, których wdzięk i oryginalność leży właśnie w pewnych odchyleniach od gramatycznej normy.

„Der Bergkamerad” o nas

Coraz popularniejszy miesięcznik zachodnoniemiecki „Der Bergkamerad”, który już kiedyś zamieścił informacje o wynikach alpinistów polskich w grupie Mont Blanc i w Dolomitach (nr 9 i 10/1966), w numerze noworocznym (4/1967) poświęcił ponownie kil-

ka kolumn sukcesowi naszych wspinaczy na Wielkim Filarze Narożnym Mont Blanc (10—15 VIII 1965 — zob. „Taternik” 1—2/1966, s. 19—22). Strony 158—160 zeszytu „Der Bergkamerad” zajmują impresje A. Zawady z przejścia wraz ze zdjęciem R. Zawadzkiego (II biwak w ścianie), zaś na stronach 191—192 zamieszczony jest techniczny opis drogi sporządzony przez Polaków, ilustrowany efektywnym zdjęciem filara. (aku)

Tablica J. Długosza

Na werandzie i ścianie warsztatów Liceum Technik Plastycznych im. A. Kenara przy ul. Krupówki wisi szereg tablic z szarego pińczowskiego kamienia, poświęconych pamięci sławnych ludzi i bohaterów: Kasprowicza, Kolumba, Ratowników Górskich, Kopnickiej i innych. Jest wśród nich również płyta Janka Długosza — piękny dowód pamięci o nim młodzieży szkolnej. Powierzchnię przecinają jakby głębokie żłeby, dołem biegnie szerek krzyżyków i napis: „J. Długosz — zginął w górach”.

Płyty wykonali uczniowie II klasy prowadzonej przez Antoniego Rzęsę w roku szkolnym 1962/1963. Temat zadania był dowolny, młodzież kierowała się w wyborze sentymentem do ulubionych postaci z historii i życia. Warto w wolnej chwili zajść do starej szkoły i obejrzeć prace, zwłaszcza, że oprócz tablic wystawionych jest wiele interesujących rzeźb.

H. Rzęsa



Wyprawa w rejon Fitz Roy

W listopadzie 1967 r. wyrusza do Patagonii 4-osobowa wyprawa brytyjska, która zamierza poprowadzić nową i trudniejszą drogę na Cerro Torre (3128 m). Zespół tworzą czołowi młodzi wspinacze: M. Boysen, M. Burke, P. Crew i D. Haston. Szczyt Cerro Torre zdobyli w r. 1959 C. Maestri i V. Egger, po zaawansowanej próbie w r. 1958 (z udziałem W. Bonattiego). Egger zginął w zejściu. Rejon Cerro Fitz Roy słynie z pięknej granitowej skały i „najgorszej ze złych pogód świata”.

Z czekaniem w Karkonosze

W lipcowym numerze kwartalnika „Alpinismus” (7/1967) Kurt Richter zamieszcza artykuł o wspinaczkach uprawianych co zimy na południowo-zachodnich stokach Śnieżki (1602 m), w obrębie kotła polodowcowego Obří dul. Spływająca woda marznąca tworzy tu kompleks lodospadów 50–80 m wysokości, częściowo poprzerastanych skałami. Wiedzie przez nie ok. 10 dróg wspinaczkowych — czysto lodowych i lodowo-skalnych, od łatwych poczynając, aż po skrajnie trudne, przebywane z pomocą techniki hakowej. Jest to doskonały teren do nauki chodzenia w lodzie i treningu lodowego — w pełni zresztą wykorzystywany przez wspinaczy z NRD i CSRS. Zima niedaleko — może warto by podczas niej przeszukać i polską stronę Karkonoszy (kościół Łomniczyki?). Taternikom z województwa wrocławskiego bardzo by się taki lodowy poligon przydał.

Cenne książki

Piękny dar otrzymał Klub Wysookgórski od Guido Monzino’ego, kierownika wypraw włoskiej grupy Guide del Cervino w góry egzotyczne. Przysłał on mianowicie dwie swoje książki omawiające wyprawy na Grenlandię w latach 1960–64 („Spedizioni d’Alpinismo in Groenlandia”) oraz do Afryki w latach 1959–65 („Spedizioni d’Alpinismo in Africa”). Oba tytuły są luksusowo wydane — w sumie 770 stron druku w formacie 30×23 cm — wewnątrz zawierają parę setek efektownych zdjęć, rycin i map. Do ich treści wrócimy jeszcze w „Taterniku”. Mille grazie, Signore Monzino!

„Śląskie Schronisko”

W r. 1966 rozpoczęto budowę nowego schroniska w Dolinie Wielickiej, nad Wielickim Stawem — stare, zbudowane w r. 1894 przez śląską sekcję Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego (stąd nazwa), spłonęło w

listopadzie 1962 r. Budynek będzie miał konstrukcję żelbetonową, 9200 m³ kubatury i 104+20 miejsc noclegowych. W pobliżu zostaną zainstalowane wyciągi narciarskie. Otwarcie tego ważnego dla taterników obiektu przewidziane jest na sezon zimowy 1967/68. („Vysoké Tatry 6/1966).

Club Alpino Italiano

Włoski Klub Alpejski został założony w r. 1863 z inicjatywy Quintino Selli i należy do największych w Europie. Z dniem 31 XII 1966 zrzeszał on w 261 sekcjach 107 000 członków, w tym 69 190 zwyczajnych. Najliczniejsze sekcje znajdują się w Trydencie (8 350 członków) i Mediolanie (3 908 członków). Pierwsza z nich — Societá Alpinisti Tridentini (S.A.T.) — była do r. 1918 samodzielną organizacją, a i dziś cieszy się dużą autonomią i posiada oddzielny statut. Siedzibą Zarządu Głównego C.A.I. jest Mediolan, niektóre komisje robocze mają swoje biura w innych miastach. Prezesem jest obecnie Renato Chabod. W szeregach C.A.I. znajduje się również kilku Polaków, którzy działali w górach włoskich, członkiem honorowym tej organizacji jest prof. dr Walery Goetel.

Alpinizm a nauka

Nakładem „Wiedzy Powszechnej” ukazał się solidnie przygotowany tom „Dziewięć wieków geografii polskiej” (1967, s. 558). Książkę zamyka zestawienie zatytułowane „Chronologia geografii polskiej” (ss. 487–519), opracowane przez prof. Bolesława Olaszewicza. Wymienia ono bez mała wszystkie wyprawy Klubu Wysokogórskiego w góry egzotyczne, a ostatnią w nim pozycją — pod rokiem 1966 — jest wiadomość o przekazaniu przez min. A. Rapackiego królowi Afganistanu „mapy Hindukuszu sporządzonej przez uczestników polskiej wyprawy w te góry”.

Tak więc wkład naszych ekspedycji w ogólny dorobek geografii polskiej zostaje oficjalnie uznany, co odnotowujemy nie bez satysfakcji jako uzupełnienie do zamieszczonej w „Taterniku” 3–4/1966 s. 134 polemicznej wypowiedzi Adama Chowańskiego.

Księga polskiego alpinizmu

W przeprowadzonej dla „Taternika” (3–4/1965) rozmowie z drem K. Sayssse-Tobiczykiem, red. Adam Chwański poruszył m. in. kwestię wydania III tomu monografii „W skałach i lodach świata”, której tomy I i II wyszły w latach 1959 i 1961. W uzgodnieniu z drem Tobiczykiem, inicjatorem i redaktorem naczelnym tej pozycji, Klub Wysokogórski zwrócił się w maju 1966 r. do Wy-

dawnictwa „Wiedza Powszechna” z prośbą o rozpatrzenie możliwości kontynuowania publikacji tej wspaniałej historii naszego sportu wysokogórskiego. Wydawnictwo przychylnie przyjęło prośbę i zgłosiło tom III „W skałach i lodach świata” jako swą inicjatywę wydawniczą na najbliższe lata. Dr Sayssse-Tobiczyk zgromadził już cały materiał do tego tomu, który będzie odbiegał charakterem od poprzednich i zawrze wszystkie ważniejsze fakty z naszej działalności w górach wysokich — chronologicznie dowiązując do tomów I i II. Są szanse, iż praca ukaże się w r. 1968 — na jubileusz 150-lecia polskiego alpinizmu wyczynowego.

Październik pod Annapurną

Deutscher Alpenverein organizuje jesienią 1967 r. wycieczkę w... Himalaje. Aż do Pok-

hara podróż odbędzie się drogą lotniczą, 5 dni przewidziano na przemarsz do bazy na wys. 4400 m. Stąd chętni do wspinaczki dokonają wejścia na szczyt Mardi Himal (5587 m), słynący ze wspaniałego widoku na grupę Annapurny (8078 m), obrywającej się ku południowi krawędzią skalną należącą do najpotężniejszych na świecie. Dodatkową ozdobą panoramy jest „Matterhorn Nepalu” — piękny Machapucharé (6997 m). Powrót wycieczki nastąpi tą samą drogą, ze zwiedzaniem szeregu miejscowości i zabytków. Całość imprezy (Monachium — Monachium) zamyka się w datach 8 X—1 XI 1967 r., z czego na wycinek górski (Katmandu — Katmandu) przypada 13 dni. Koszt uczestnictwa wynosi 3950 DM, przyjmowane są również zapisy członków z innych klubów. Kierownictwo alpinistyczne objął znawca Nepalu i Himalajów, Col J. Roberts.

Sprostowania i uzupełnienia

Zespół polsko-japoński

Uzupełniamy notatkę zamieszczoną w „Taterniku” 1—2/1966 s. 68. Alpejski partner M. Kołakowskiego, Japończyk Hajime Yoshiki, jest uczniem wspinaczkowym Jerzego Sawickiego, z którym wspinał się w skałach w Pensylwanii. W sierpniu 1963 r. weszli oni obaj wraz z 2 Włochami na Mont Blanc od strony Courmayeur — przez lodowiec Miage i grań Aiguille de Bionnassay. Powrót nastąpił tą samą drogą.

Jaworowy Róg

W opisie wejścia na zachodnią grań Jaworowego Rogu zamieszczonym w „Taterniku” 3—4/1966 s. 112 wymagają wyjaśnienia ostatnie zdania. Otóż droga zespołu J. Hajdukiewicza — Z. Nesseltucha — J. Sawickiego prowadzi północną ścianą monolitu szczytowego Jaworowego Rogu i wychodzi ściśle na szczyt (VI, A1). Wejście na siodełko na zachód od szczytu jest wariantem tegoż samego zespołu, przebytym w trakcie wycofania się sprzed kulminacyjnych trudności. Na zdjęciach w przewodniku Puškása (t. III) dolna strzałka drogi VIII.20 wrysowana jest przez pomyłkę.

J. Hajdukiewicz

O Boyu-Żeleńskim

Redakcja spotkała się z uwagą, że zamieszczony w numerze 3—4/1966 artykuł o Boyu-Żeleńskim — taterniku, nie był, jak na łamy naszego pisma, zbyt odkrywczy. Wyjaśniamy, że nie chodziło nam bynaj-

mniej o odkrywanie dobrze znanej przeszłości taternickiej wielkiego pisarza, lecz jedynie o przypomnienie tej pięknej sylwetki w związku z 25-leciem śmierci od kul gestapo. Mamy nadzieję, że większość taterników tak właśnie ten artykuł przyjęła. Przy okazji prostujemy pomyłkę: Władysław Żeleński skomponował uwerturę koncertową „W Tatrach” — autorem „Morskiego Oka” jest oczywiście Zygmunt Noskowski.

Lodowy Szczyt

R. Szafirski i A. Żyzak podają w „Taterniku” 3—4/1966, s. 117, że w dniu 5 IV 1966 dokonano I lub I polskiego przejścia zimowego drogi Galfy’ego na północno-zachodniej ścianie Lodowego Szczytu. Według posiadanych przeze mnie informacji, pierwsi w zimie byli na tej drodze Słowacy w marcu 1960 r., zaś pierwsze polskie przejście zimowe zostało dokonane przez zespół A. Gąsiorowski, A. Matuszewski, J. Stryczyński i J. Dobrogowski w dniu 5 IV 1961.

J. Dobrogowski

Pik OGPU

Do artykułu G. I. Szałajewa zamieszczonego w „Taterniku” 1/1967 s. 5—6 wkradły się błędy, spowodowane trudną czytelnością rękopisu oraz tym, że list redakcji z kopią materiału zamiast do Lwowa zawędrował do... USA. I tak lodowiec Biwacznyj jest pd.-zach. odnogą lodowca Fedcenki, a nazwiska dwóch uczestników wyprawy winny brzmieć: G. S. Karłow i N. I. Korolenko.

Taternik

Organ Polskiego Wysokogornego Klubu
Organ of the Polish Mountaineering Club
Revue du Club Polonais de Haute Montagne
Organ des Polnischen Bergsteigerklubs

Tom, volume, Jahrgang: XLIII (1967) No 3 (196) Redaktor, editor, rédacteur; Józef Nyka,
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m 18. Tel. 41-01-87. Pologne

Summary

Pro Memoria of Jan Długosz (<i>J. Nyka</i>)	97
Program of Further Development of Polish Alpinism (<i>R. W. Schramm</i>)	98
Ascent of Pik Lenin in 1962 (<i>G. I. Chalayev</i>)	101
In West Hindu Kush (<i>J. Wala</i>)	104
Gouffre Berger - 1966 (<i>M. Kuczyński</i>)	107
New caves in Mt. Małolęczniak (<i>A. Kobylecki</i>)	110
Jan Długosz 1929-1962	111

One of the most prominent Polish alpinists. He opened in the Tatras about 30 new routes both in summer and winter. In the Alps he took part in the VIIIth ascent of the West Face of the Petit Dru (1957) and in the first ascent of the Freney Pilier on Mont Blanc (1961). In the Caucasus he opened a new route on the south pilier of Dych Tau (1959). In his book „Komin Pokutników” (1964) he enclosed his mountain biography. He lost his life in the Tatras.

New Routes in the Tatras - 131. Caving in the Tatras - 134. Accidents, Mountain Rescue - 135. The Tatras National Park - 136. Club Activities - 138. Book Reviews - 139. Notes and News - 134. Corrections - 143.

Sommaire

In memoire de Jan Długosz (<i>J. Nyka</i>)	97
Le programme d'expansion d'alpinisme polonais (<i>R. W. Schramm</i>)	98
Pik Lenin, 1962 (<i>G. I. Chalayew</i>)	101
Dans l'Hindou Kouch occidental (<i>J. Wala</i>)	104
Gouffre Berger, 1966 (<i>M. Kuczyński</i>)	107
Jan Długosz 1929-1962	111

Un des plus grandes alpiniste polonais. Dans les Tatra il a ouvert 30 premières d'été et d'hiver. Dans les Alpes il fait la VIIIe ascension de la face ouest de Petit Dru (1957) et la

première de pilier Freney (1961). Il a écrit un livre „Komin Pokutników” (1964) - autobiographie de montagne. Il est tombé du Zadni Kościelec aux Tatra.

Nouveaux itinéraires dans les Tatra - 131. Spéléologie - 134. Les accidents de montagne - 135. La chronique du Club Polonais de Haute Montagne - 138. Livres et revues - 139. Notes diverses - 43.

Inhaltsverzeichnis

Jan Długosz zum 5 Todestag (<i>J. Nyka</i>)	97
Um ein Programm der Expansion des polnischen Alpinismus (<i>R. W. Schramm</i>)	98
Bergsteigen im Fernsehen (<i>J. Nyka</i>)	100
40 Man dem Pik Lenin entgegen (<i>G. I. Schalayew</i>)	101
Travnik-Nordwand im Winter	103
Im Westlichen Hindukusch (<i>J. Wala</i>)	104
Gouffre Berger - 1966 (<i>M. Kuczyński</i>)	107
Neue Höhlen im Małolęczniak (<i>A. Kobylecki</i>)	110
Jan Długosz (1929-1962)	111

Spitzenalpinist der Nachkriegszeit; ein Pionier der extremsten Richtung. Ueber 30 Erstbegehungen in der Hohen Tatra (darunter ca. 15 im Winter). 1957 achte Begehung der Petit Dru-Westwand; 1959 Dych Tau über den Südpfeiler (neue Führe) und sechste Begehung des Nordpfeilers der Schara. 1961 Erstbegehung des Fréney-Pfeilers (Mont Blanc). Seine Bergerlebnisse schilderte er in dem Buch „Komin Pokutników” (1964). Er Starb durch Absturz aus dem Kościelec-Grat.

Neue Führen in der Tatra - 131. Höhlenforschung - 134. Bergunfälle und Bergrettungsdienst - 135. Der Tatra-Nationalpark - 136. Aus dem Klubsleben - 138. Schriftenschau - 139. Kurze Informationen - 143. Nachträge - 143.



W Dolinie Pięciu Stawów Spiskich

Fot. Jerzy Surdel

T A T E R N I K

Rok założenia 1907

Organ Klubu Wysokogórskiego poświęcony sprawom taternictwa, alpinizmu i speleologii

Redaktor: Józef Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m 18

Zastępca redaktora: Jan Staszcz, Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m 7

Komitet Redakcyjny: Ryszard Gradziński, Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm, Jan Alfred Szczepański i Piotr Żółtowski.

Adres redakcji: Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m 18, tel. 41-07-87.

Adres Klubu Wysokogórskiego: Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 439, tel. 26-69-56.

Warunki prenumeraty: Cena prenumeraty: półrocznie – zł 20, rocznie – zł 40. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą dokonywać wpłat również na konto PKO nr 1-6-100020 – Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH” – Warszawa, ul. Wronia 23. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „RUCH”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki zagranicznej, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH”, Warszawa, ul. Wronia 23 – konto PKO nr 1-6-100024, tel. 20-46-88. Egzemplarze archiwalne można nabywać (zamawiać) w redakcji, biurze Klubu Wysokogórskiego lub w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „RUCH” – Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17 na miejscu lub na zamówienie za zaliczeniem pocztowym.

Wydawca: RSW „Prasa” Wydawnictwo „Prasa Sportowa” – Warszawa, ul. Siewierska 13. Telefony: Dyrektor – 22-27-23, Wydział Wydawniczy – 21-12-04, Sekcja Ogłoszeń – 22-42-39. Za terminowy druk ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Cena ogłoszenia 1 cm² 10 zł.

PZG RSW „Prasa”, al. Jerozolimskie 125. Zam. 2165, T-68. Nakł. 3129.

● 12-osobowa wyprawa austriacka bawila w sierpniu 1967 r. w Pamiarze w rejonie Piku Lenina (7134 m). Organizatorami ekspedycji były współpracujące po raz pierwszy kluby OeAV, OeTK i TVN, kierownictwo sprawowali F. Huber i E. Vanis. Imprezie patronował Prezydent Austrii, F. Jonas.

● Koło Krakowskie KW zamierza zorganizować w końcu roku 1967 wystawę fotograficzną „Polskie Wyprawy w Hindukusz”. Przyjmowane są fotografie nie mniejsze, niż 30 × 40 cm. Adres komitetu: Kraków, ul. Gołębia 2/8.

● Doroczne Walne Zgromadzenie UIAA, połączone z posiedzeniem Komitetu Wykonawczego, tym razem odbędzie się w Madrycie, w dniach 8–10 X 1967 r.

● W nakładzie Wydawnictwa „Wiedza Powszechna” ukaże się w roku przyszłym książka Czesława Momatiuka „500 zagadek o Tatrach”. Tekst jest już napisany, nad szatą ilustracyjną pracuje Samuel Skierski.

● W r. 1966 wyszło w tejże samej serii II wydanie książki Eugeniusza Skrzyпка „500 zagadek sportowych”. Wśród zaprezentowanych dyscyplin nie zabrakło również alpinizmu, którego autor poświęcił rozdział „Kto i kiedy zdobył szczyty?”

● W dniach 2–18 V 1967 przebywał w Związku Radzieckim na zaproszenie Federacji Alpinizmu ZSRR dyrektor Państwowej Szkoły Narciarstwa i Alpinizmu (ENSA) w Chamonix, Jean Franco. Odwiedził on Moskwę, Leningrad, Kijów i Tbilisi, wygłaszając ilustrowane filmami odczyty o alpinizmie i narciarstwie francuskim. (mp)

● 90 zdjęć I. Urbanoviča złożyło się na wystawę „Hindukusz 1965”, zaprezentowaną w „Tatrzańskiej Galerii” w Starym Smokowcu. Oprawę plastyczną zaprojektował A. Puśkaś.

● 10 lat temu, 27 VI 1957 r., przy próbie zdobycia Chogolisy (7654 m), zginął na grani szczytowej Hermann Buhl – jeden z najlepszych wspinaczy świata.

● Jak podaje bułgarski miesięcznik „Turist”, jesienią 1966 poprowadzono nową piękną drogę na centralnej ścianie Wrataca, której masyw bywa nazywany „małymi Dolomitami”. Droga

pokonuje wysokość 320 m i została sklasyfikowana jako VI B. Przejście trwało 3 dni.

● 26 III 1967 poniósł śmierć w szczelnie lodowej Jean Tourancheau, członek władz FFM i prezes GUMS.

● 10 X 1967 r. rozpocznie się w miejscowości Adria we Włoszech już szósty z kolei krajowy festiwal amatorskich chórów górskich. Główną nagrodą jest „złota amfora C.A.I.”

● W wielkiej serii albumów tatrzańskich Kazimierza Sayse-Tobczyka pojawi się wkrótce na półkach księgarskich tom szósty pt. „Tatry”, obejmujący całość pasma, włącznie ze stroną słowacką. Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, stron 224, fotografii 214.

● Club Alpin Suisse jest właścicielem 139 schronisk w górach. W okresie jesień 1965 – jesień 1966 korzystało z nich 193 500 osób, z tego 125 000 członków CAS. Każde miejsce noclegowe było wykorzystane przeciętnie 23 razy w roku. („Die Alpen” 5/1967).

● 22 II 1967 r. zginął w lawinie 52-letni przewodnik włoski Gaetano Panel, uczestnik pierwszych wejść zimowych na Mont Blanc przez Innominatę (1953, z S. Viotto) i Sentinelles Rouge (1961, z W. Bonattim).

● Na liście 40 kandydatów do tytułu asa sportowego woj. krakowskiego za rok 1965 alpinizm reprezentował R. Zawadzki. Listę roku 1966 otwierało nazwisko A. Heinricha, którego „Przegląd Sportowy” wprowadził również do plebiscytu ogólnopolskiego. W Krakowie Zawadzki zajął 19 miejsce, Heinrich – 21.

● Jesienny zeszyt „La Montagne” (octobre 1966) zamieszcza obszerny artykuł Borysa Garfa „L'alpinisme en U.R.S.S.” (s. 290–296). Opracowanie zdoła 9 pięknych zdjęć, z tego 3 autorów polskich (M. Baly i Z. Staszyszyna).

● Radio austriackie nadaje co piątek audycje „My i góry”, przeznaczone dla turystów górskich i alpinistów. Przygotowuje je Fritz Bieler ze studia w Innsbrucku.

● 27 IX 1966 r. dwaj przewodnicy z Zermatt przebyli w ciągu 1 dnia wszystkie granie Matter-

hornu. Weszli granią Furggen, zeszli Hörnli, weszli ponownie przez Zmutt i zeszli granią włoską. Na szczycie byli o godz. 7.30 i 16.

● W czerwcu 1967 r. Koło Warszawskie KW uporządkowało listę swoich członków, z której skreśliło 164 osoby, których zalegające ze składkami.

● Jeden z nestorów przewodnictwa w Tatrach, Ján Počúvaj z Nowej Leśnej, ukończył niedawno 80 lat. Na sam tylko Gierlach wyprowadził on turystów przeszło 600 razy.

● „Alpinismus” 7/1966 przynosi omówienie radzieckiego roku górskiego 1966. Inicjały pod notatką wskazują, że jej autorem jest F. A. Kropf.

● Wśród polskich alpinistów, którzy weszli tego lata na Mont Blanc znajduje się również Prezes KW, Czesław Bajer, któremu towarzyszył Jan Kowalczyk.

● M. Popko zorganizował prywatną wyprawę członków KW w góry Turcji. 17 VIII 1967 r. zdobyła ona Ararat (5156 m).

● Ukazały się dwie nowe książki o Hindukuszu. W. Frey i S. Akram w książce „Zwischen Munjan und Bashgal” piszą o Hindukuszu Środkowym (flora, alpinizm), zaś R. Varvelli w pięknie wydanym dziele „Afghanistan, ultimo silenzio” – o podróży przez Afganistan i kierowanej przez siebie wyprawie.

● Maciej Popko prowadził w dniach od 25 VI do 8 VII kurs dla początkujących Sekcji Wysokogórskiej przy UW. W ciągu pierwszych 6 dni uczestnicy „zaliczyli” sobie po przeszło 30 godzin wspinaczkowych.

● Uwaga alpinistów znających język angielski! „Selected Climbs in the Range of Mont Blanc” – to tytuł wydanego ostatnio w Wielkiej Brytanii świetnego przewodnika wspinaczkowego, opracowanego w 2 tomach przez doskonałych wspinaczy, R. G. Colomby i P. Crew. Cena 35 i 28 /-.

● M. Kozłowski i J. Kurczab dokonali w dniach 27–28 VII i 2 VIII pierwszego przejścia lewego filara pn.-wsch. ściany Les Droites (4000 m). Przejście to zaliczono do czołowych sukcesów lata 1967 w Alpach.